




BIBLIOTEKA
DLA
MŁODZIEŻY

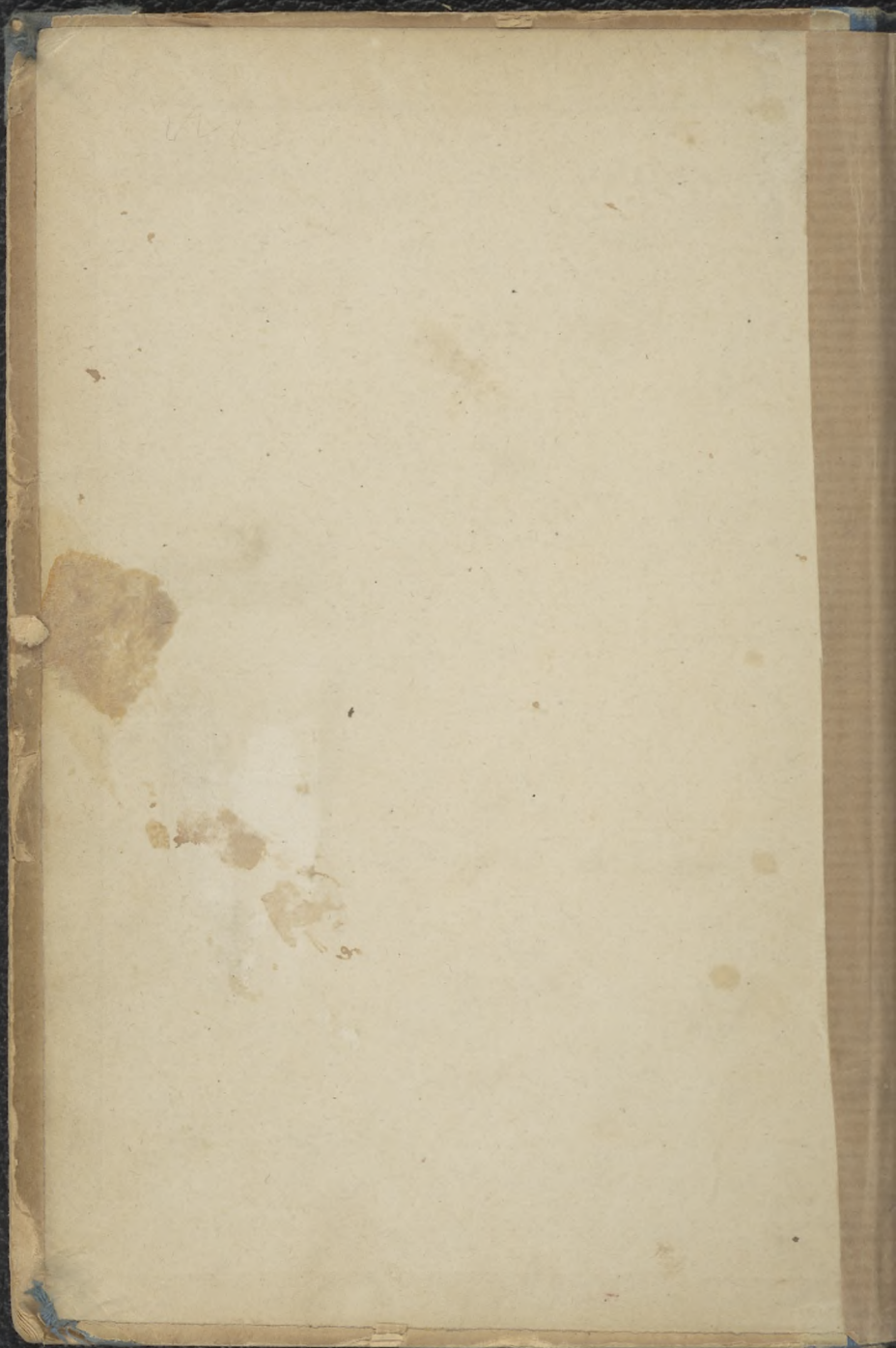


M. J. ZALESKA.

GWIAZDKA
DLA GRZECZNEJ DZIATWY.



GEBETHNER, WOLFF



I 7.465, 466

MAŁE POWIASTKI.

INTERIM REPORT

400. -

GWIAZDKA

DLA GRZECZNEJ DZIATWY.



MAŁE POWIASTKI

opowiedziała

M. J. ZALESKA.

Wydanie drugie z 26 obrazkami w tekście.

WYDAWCA: JAKUB GIEBETHNER

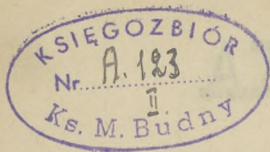
WARSZAWA, ul. Świdnicka 13

Wydanie drugie z 26 obrazkami w tekście.

Wydanie drugie z 26 obrazkami w tekście.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1893.



WIDANO Z DUBLETÓW
BIBLIOTEKI SEM. SAC

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Іюня 1892 года.



1.465.466
(A)

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Syniów, Krakowskie-Przedmieście 66.

1985 K 2000/57



MALUTKA KAZIA.

— Mamo, mamó, Kazia wypadnie z kołysieczki! Niech mamunia idzie prędyutko ją zatrzyma, bo ja nie potrafię.

Tak wołała Marynia, starsza siostrzyczka malutkiej Kazi. Dziecina wychylała się nieostroźnie z kolebeczki, bo

jeszcze nie rozumiała, że tym sposobem może upaść i potłuc się strasznie. Ale mama ją schwyciła i mocno przytrzymała.

Mała Kazia zaczęła się mazać, wyrywać, chciała koniecznie sięgnąć rączką do biegunów swojej kolebki, zdawało jej się zapewne, że to śliczna będzie zabawa. Mama nie wypuściła jej z rąk, nie zważając wcale na płacz i grymasy. W końcu dziecina przekonała się, że uporem nic nie wskóra, położyła się spokojnie, mama ją pokłysała, zaśpiewała półgłosem ładną piosenkę i Kazia usnęła znowu.

Marynia siedziała przez ten czas cichutko, nie przeszkadzała mamie, bo była bardzo grzeczna i kochała niezmiernie małą siostrzyczkę. Mama, ukołysawszy Kazię, przywołała do siebie starszą córeczkę i tak do niej mówiła:

— Widziałas, Maryniu, jak to nasza Kaziunia chciała koniecznie wypaść z kołysieczki i potłuc się porządnie. Czy ja dobrze zrobiłam, że ją gwałtem zatrzymałam?

— O, mammo, jakżeż mama może

o to pytać?—mówiła, śmiejąc się, Marynia — ona taka malutka, nie jeszcze nie rozumie i zabiłaby się, żeby jej nie pilnować. Czy i ja tak robiłam, mateczko, jak byłam taka mała?

— Tak samo—rzekła mama—nie-raz byłabyś spadła z kolebki lub ze stołu i zabiła się, gdybym ci była pozwałała na wszystko, czegoś się napierała. Teraz mi pewnie za to jesteś wdzięczna, nieprawdaż? A wtenczas płakałaś, tak samo, jak Kazia.

— O, mateczko, te małe dzieci takie są nierozsądne — rzekła Marynia, całując rączkę dobrej mamy.

— A i teraz, moje dziecię — mówiła dalej mama—chociaż jesteś już starsza, i dobra, i grzeczna z ciebie dziewczynka, czasem jednak zachciewa ci się takich rzeczy, które ci mogą zaszkodzić. Ty tego jeszcze nie rozumiesz, ale ja wiem lepiej, co jest dla ciebie dobre, a co złe, i nie mogę ci na wszystko pozwalać. Gdybyś się chciała koniecznie upierać przy swoim, nie mam innego sposobu, tylko zmusić cię do posłuszeństwa dla własnego

twojego dobra; wszak sama to dobrze rozumiesz, Kochanko, że wstrzymałam gwałtem Kaziunię w kołysce, dla tego tylko, żeby się nie potłukła. Pamiętajże, ile razy ci się czegoś będzie zachciewało, a ja na to nie pozwolę, pomyśl sobie zaraz: mama mnie kocha tak samo, jak Kazię, wie pewnie, że toby mi zaszkodziło i dla tego nie pozwala. Jak będę starsza, zrozumiem to i podziękuję mamie.

Marynia była roztropna dziewczynka, rozumiała dobrze to, co mama mówiła, a ile razy potem miała ochotę być troszkę nieposłuszną, zaraz sobie przypominała, jak to mała Kaziunia chciała wypaść z kołyski. Odtąd więc zawsze słuchała mamy odrazu i nie dopytywała się nawet, dla czego ona nie pozwala na to lub owo.

NAJLEPSZE KOCHANIE.

— Ja tak kocham mateczkę — Antosia wołała,
— Niechże mnie mama droga na ręku ponosi;
Mnie nóżki bardzo bołą, jestem taka mała,
Dogodzić trzeba Antosi.

Słyszy to mały Janek i sobie znów prawi:
— Ja tak kocham mateczkę, tak kocham serdecznie,
Niechże się mama ze mną troszeczkę pobawi,
Kiedy ja proszę tak grzecznie.

Anulka nie nie mówi, na mamę spogląda,
Radaby myśl jej każdą wyczytać z wejrzenia,
O nie mamy nie prosi, niczego nie żąda,
Lecz jej uprzedza życzenia.

To kłębuszek podniesie, potrzyma moteczek,
Na zawołanie mamy do usług jej staje,
To pod nogi przedziutko podsunie stołeczek,
I co potrzeba podaje.

A teraz, jak sądzicie, czy mama poznała;
Kto ją kocha najlepiej? Zgodzicie się z nami,
Że podobno najlepiej Anulka kochała,
Bo czynem, a nie słowami.

MOTYLEK.

Kazio biegał po łączce, po trawce
zielonej i zrywał kwiateczki. A pełno
ich tam było, wszystkie takie ładne:
różowe, żółte, ponsowe, niebieskie.

Kazio miał już spory bukiet w rączkach i chciał go odnieść mamie, wtem

na smółce różowej, tuż przed nim, usiadł motylek i zapuścił długą trąbkę w kwiateczek. Musiał być głodny i zachciało mu się słodkiego miodu.

Prześlicznyż to był motylek! Skrzydełka miał ciemno-purpurowe, a na każdym dwa duże oczka złociste, jak na piórkach pawia.

— Pawik! pawik!—wołał Kazio, bo wiedział od mamy, że taki motylek nazywa się pawik, i wyciągnął rączkę, chcąc go pochwycić. Ale piękny motylek frunął przed samym noskiem chłopczyka i wzniósł się wysoko.

— Stój! stój! ty niedobry motylku, nie uciekaj, ja muszę cię złapać koniecznie.

Motylek nie słuchał wcale, odleciał daleko i usiadł znów na kwiateczku, aż na drugim końcu łączki. Tu spotkał drugiego motylka, swego przyjaciela, żółtego cytrynka i rzekł do niego:

— Ach! żebyś wiedział, w jakim strachu byłem przed chwilą. Zasiałem sobie do śniadania na różowej smółce, aż tu nadbiegł drapieżny jakiś chłopczyk i chciał mnie pochwycić.

cić w straszne swoje łapy. To szczęście, że go spostrzegłem w porę i umknąłem.

— Okropne rzeczy! — rzekł cytrynek — wiem ja dobrze, co to znaczy; raz już o mało nie zginałem, gdy taki niegodziwy chłopiec porwał mnie w swoje szpony. Jemu się zdawało, że mnie bardzo delikatnie trzyma, a tymczasem zwichnął mi skrzydełko i przez kilka dni potem byłem kaleką, chociaż mnie wypuścił na prośbę jakiejś prześlicznej dziewczynki.

— Ach! mało jest dobrych dzieci na świecie — mówił pawik — chłopcy szczególnie, to są zwykle okrutniki, gotowi dla igraszki zamordować niewinne stworzenie bez wahania, jak gdyby nie wiedzieli o tem, że i najdrobniejsza muszka ma życie dane od Boga.

— O, wiedzą oni o tem dobrze — mówił cytrynek — i wiedzą także, że nie potrafią przywrócić życia zamordowanej istocie, ani nawet naprawić złamanego skrzydełka. Ale już tacy są zli i okrutni.

Gdyby Kazio był tę rozmowę mottolków usłyszał, byłby się bardzo zawstydził: bo on nie był ani zły, ani okrutny, tylko nie pomyślał nigdy o tem wszystkim.



TADZIO.

Mały Tadzio lubił niezmiernie parzyć wieczorem na gwiazdki błyszczące na niebie, lubił też bardzo słuchać, gdy mama opowiadała mu o tych gwiazdkach, że to nie są wcale malu-

tkie świecące kropeczki, ale światy ogromne, daleko większe od naszej ziemi całej, światy niezmiernie oddalone i dla tego nam się takie malutkie wydają. Chłopczyk słuchał uważnie i pamiętał wszystkie słowa matki.

Pewnego dnia Tadzio chwalił się przed wujaszkiem swojemi zabawkami, pokazywał mu konia na biegunach, ogromną piłkę, bębenek, a wujaszek mówił, żartując sobie z niego:

— Ach! żebym to ja miał takie śliczne rzeczy! Daj mi, Tadzio, tego konika. Co chcesz za niego? A co za bębenek, za piłkę, powiedz?

Tadzio śmiał się do rozpuku, bo się znał na żartach i odpowiedział:

— Niech wujaszek mi da takiego piernika, jak ten dom; takie pudełko cukierków, żeby aż do sufitu dostało.

A wujaszek schwycił go znów za rączkę, potem za nóżkę, mówiąc:

— A co chcesz, Tadzio, za to, żebyś mi oddał swoją rączkę? A co chcesz za nóżkę? Ja sobie zaraz scyzorykiem odetnę i będę miał trzy ręce i trzy nogi.

Tadzio pokładał się od śmiechu, na wszystko się zgadzał, tylko coraz dziwniejszych rzeczy żądał w zamian: to ogromnej góry z cukru, to ogromnego pałacu z samych karmelków, to rzeki z malinowego syropu. A wtem wujaszek zawołał nagle:

— Co chcesz za to, żebyś mi oddał swoją mamę?

Chłopczyk w tej samej chwili śmiać się przestał i patrząc na wujaszka rozognionemi oczkami, szybko, bez namysłu odpowiedział:

— O nie, wujaszku, mamy nie oddam, nawet za tę gwiazdę, co to większa od ziemi.

I mówiąc to, wskazywał paluszkami przez okno otwarte w niebo, gdzie właśnie zajaśniało przed chwilą kilka gwiazdek na jasnym błękitnie.

GŁODNE PTASZĘTA.

W jednym domu, na wsi, mieszkała mała dziewczynka, bardzo dobra i grze-

czna, nazywała się Kostusia. Pewnego dnia, było zimno na dworze, śnieg padał, Kostusia stała przy drzwiach szklanych od ogrodu i przez szybę patrzyła na ganek. I obaczyła, jak przyleciały dwa ptaszeczki, zaczęły skakać po ganku i świegotać tak jakoś smutno, jakby mówiły do siebie:

— Tak chłodno, tak głodno, a tu jeść co niema.

Kostusi żał się zrobiło tych biednych ptaszeczków, patrzyła na nie przez chwilkę i widziała, jak jeden znalazł jakąś okruszynę, czy ziarneczko na ganku i zaświegotał weselej troszkę, ale drugi podleciał i nic nie znalazł.

Dziewczynka pobiegła po mamę, przyprowadziła ją do okna i pokazała biedne ptaszęta. Mama przyniosła kawałek chleba, otworzyła lufcik w oknie i posypała dużo okruszyn na ganek. O, cóż to była za radość! Oba ptaszeczki zaczęły świegotać żywo i wesoło, pewnie się bardzo cieszyły, zbierały dziobkami okruszyny chleba, zajadały ze smakiem, a potem zatrzepotały

skrzydełkami i pofrunęły przedziutko w ogród.

Kostusia odeszła, pobawiła się laleczką, opowiedziała jej o tych biednych, głodnych ptaszętach, a po chwili znowu pobiegła do drzwi i przez szybę wyjrzała na ganek. Ach! co się tam działo! Już nie dwa, ale z dziesięć, może i piętnaście ptaszeczków skakało po ganku, zbierało okruszyny, świegotało tak głośno, tak wesoło, aż Kostusia wykrzyknęła, uradowana także:

— Oho! jaki bal mają ptaszęta!

I klasnęła w rączki.

— Ale, moja mamó — mówiła — z kąd one się dowiedziały, że tu na ganku jest dla nich jedzenie? Może tamte dwa pierwsze ptaszeczki im powiedziały?

— Bardzo być może — odpowiedziała mama — my nie rozumiemy mowy ptasząt, a one pewnie umieją się z sobą jakoś rozmówić.

— Ach, mateczko — mówiła Kostusia — to pewnie te ptaszeczki, co to podjadły sobie dobrze, pofrunęły i po-

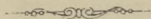
wiedziały wszystkim swoim znajomym: „Prędko, prędko, lećcie tam, na ten ganek, bo tam jest dobra pani, posypała takie smaczne rzeczy dla nas, i myśmy się najedli i dla was jeszcze dużo zostało.“ A jakież te ptaszęta są dobre, że pamiętają o swoich braci-szkach. One tu może i jutro przyfruną, bo będą myślały, że my im znowu jeść damy. O, moja mamó, ja im codzień będę sypała okruszyny chleba; czy pozwoli mama?

— Czemuż nie—odpowiedziała mama — byleś sama o tem pamiętała, bo ja mam dużo innych zajęć, muszę myśleć o tem, abyś ty nie była głodna i wszyscy domowi.

— A ja będę myślała o ptaszkach—mówiła Kostusia. Odtąd codzień przy obiedzie, przy śniadaniu i podwieczorku, zbierała wszystkie pozostałe kawałki chleba, bułki, leguminy, składała to wszystko w koszyczek wyłożony czystym papierem i sypała na ganek dla biednych ptasząt.

Musiały też ptaszki opowiedzieć po całej okolicy o dobrej dziewczynce, co

pamiętała o zgłodniałych ptaszętach,
bo mnóstwo ich zlatywało się na ga-
nek i Kostusia przysłuchiwała się
z wielką przyjemnością wesołemu ich
świegotaniu.





S.W.

KOZIEŁEK.

Był raz mały chłopczyk, nazywał się Micio, ale wszyscy w domu przezywali go kozielkiem, bo Micio, miał brzydką bardzo wadę, był uparty. Czasem i on umiał być grzecznym i wtenczas słuchał od razu mamy, nie sprzeczał się z boną ani ze starszą siostrzy-

czką, ale jak się rozgrymasił, kłopot z nim był wielki.

Nieraz naprzykład z rana przychodziło mu do głowy, że on nie lubi umywać się zimną wodą albo czesać gęstym grzebieniem. Wyrывał się z rąk swojej bony, płakał i krzyczał.

— Ja nie chcę, ja nie chcę!

Biedna bona nie mogła sobie z nim dać rady i musiała iść po mamę. Micio wiedział dobrze, że jak mama przyjdzie, to już nic nie pomoże i trzeba będzie umyć się i uczesać, jak należy. Grymasy na nic się przydać nie mogły i darmo tylko się spłakał i zmęczył. Chłopczyna jednak nie miał tyle rozumu, żeby od razu usłuchać, chociaż mama często mu tłumaczyła, że wszystko, co tylko mu robić kazała, to dla jego dobra.

Raz Micio zachorował, a doktor zapisał mu lekarstwo. Było gorzkie i niedobre, więc chłopczyk uparł się i nie chciał go za nic wypić, a gdy mama mu łyżkę z miksturką podała, namawiając łagodnie, aby był rozsądny, on odepchnął łyżkę i wylał wszystko na

kołderkę. Mama wtenczas kazała bonie przytrzymać Micia za ręce, sama zaś jedną ręką ścisnęła mu nosek tak, że odetchnąć nie mógł i musiał usta otworzyć, a drugą ręką wlała mu gwałtem lekarstwo w gardło.

Micio spłakał się okropnie, ale gdy mama w godzinę przyszła z drugą łyżką lekarstwa, wypił odrazu, bo już wiedział, że upór na nic się nie przyda, a wlewanie w gardło gorzkiej miksturki jest bardzo nieprzyjemne. Mama usiadła przy nim, zabawiała go i opowiedziała mu taką bajeczkę:

— Była to raz dzika kózka, miała dwoje kozłatek, mieszkała z niemi w górach karpackich. Kózka była bardzo zgrabna, umiała wybornie wyskakiwać po skałach i urwiskach, uczyła także swoje dzieci tej sztuki, wskazywała im gdzie można przeskoczyć, a gdzie obejść potrzeba, aby nie wpaść w głęboką przepaść.

Jeden kozielek był bardzo posłuszny, ciągle spoglądał na matkę i z oczu jej odgadywał, czego od niego chciała. Ale młodszy miał taki brzydki

uporek, że najczęściej, gdy matka pokazywała mu ścieżeczkę wygodną, on pokręcał łebkiem i naumyślnie wskakiwał na jakąś stromą skałę, albo biegł pędem ponad straszną przepaścią, a gdy mateczka go strofowała po swojemu, gwizdząc przeciągle, on udawał, że nie słyszy.

Kózka martwiła się tem bardzo; ona wiedziała, jakie to nieszczęścia wydzierają się nieposłusznym dzieciom, a kochała swoje kozłátko i radaby je od złego uchronić. Kozielek nie rozumiał, że mateczka robiła wszystko dla jego dobra, a lubił bardzo na swoim postawić; ale cóż tu się dziwić kozielkowi, kiedy to często i chłopczykom się zdarza, a oni powinnyby mieć przecież więcej rozumu od zwierzątek.

Pewnego dnia kózka ze swojemi kozłátkami pasła się na bardzo wysokiej górze i czujnie oglądała się na wszystkie strony, czy niema jakiego niebezpieczeństwa; aż naraz spostrzegła ukrytego za skałą dzikiego kota, rysia. Kot ten czatował na małe kózki, wielką miał ochotę choć jedną schrupać na

śniadanie. Koza mateczka gwizdnęła przeraźliwie, to miało znaczyć:

— Za mną, dzieci, uciekajmy, nie oddalajcie się ani na krok odemnie!

Nie było czasu pokazywać kozłatom straszego kota; żadne go nie spostrzegło, ale posłuszny kozielek o nic nie pytał, on wiedział, że mateczka zawsze dobrze dzieciom radzi, poskoczył więc w ślad za nią. Drugi, zwyczajem swoim, pomyślał sobie:

— Poco mam koniecznie razem z mateczką uciekać? ja sobie skoczę w tę stronę.

I jednym susem przesadził duży głaz, zeskoczył na drugą stronę, a tam właśnie siedział zaczajony ryś drapieżny, porwał go, uderzył pazurami po łebku i na miejscu zabił.

Biedna kózka bardzo żałowała synka, bo mateczki i nierozsądne dzieci kochają; nieraz też sobie myślała potem:

— I ja także winna jestem; skoro mój kozielek był taki niemądry i sam nie rozumiał, że ja dobra jego tylko pragnę, powinnam go była zmuszać do posłuszeństwa i karać za upór,

a byłby się może poprawił i nie zginał tak marnie.

Drugi kozielek był zawsze posłuszny, wyrósł zdrowo, i potem nie potrzebował trzymać się ciągle przy matce, bo nauczył się od niej dawać sobie rady we wszystkim.

Micio słuchał uważnie tej bajeczki i postanowił się poprawić ze swojego uporu. Ile razy mu przychodziła chętka być nieposłusznym, przypominał sobie kozielek i mówił:

— Już skoro mama tak każe, musi to być potrzebne, bo ona mnie kocha.

I słuchał jej teraz odrazu, a zawsze dobrze na tem wychodził.

KAMYCZEK I GĄBKA.

Mama. Adasiu, oto masz kamyczek i gąbkę: powiedz mi, czem się różni gąbka od kamyczka?

Adaś. Ależ, mamu, gąbka wcale do kamyczka niepodobna.

Mama. Ja to wiem, i dla tego właśnie chcę, żebyś mi powiedział wyra-

źnie, czem się te dwa przedmioty różnią pomiędzy sobą. Zastanów się.

Adaś. Kamyczek jest ciężki, a gąbka leciutka.

Mama. Czy niema innej różnicy?

Adaś. O, niechno mama poczeka, zaraz ja powiem. Kamyczek jest twardy, a gąbka mięciutka, w kamyczku nie widać ani jednej dziurki, a w gąbce dziurek pełno.

Mama. Możemy powiedzieć krócej, że gąbka jest dziurkowata. Oto masz miseczkę z wodą, włóż w wodę gąbkę i kamyczek? Cóż się teraz dzieje?

Adaś. Oho! kamyczek z wierzchu się tylko zamoczył, a gąbka pije wodę wszystkimi dziureczkami.

Mama. Powiemy, że gąbka wodę wciąga. Weźże ją teraz i wyciśnij. Widzisz jaka się zrobiła malutka, gdy ją ręką mocno ścisnąłeś. A teraz puść gąbkę. O, widzisz, znowu taka duża, jak przedtem była.

Adaś. Kamyczek nie da się tak ścisnąć. Aha! to także jest różnica, gąbka ściska się i rozciąga, a kamyczek nie.

Mama. Ta własność gąbki nazywa się sprężystością; możesz więc powiedzieć, że gąbka jest sprężysta. A teraz wylicz porządnie te wszystkie własności gąbki. Najprzód jest lekka, cóż dalej?

Adaś. Gąbka jest lekka, dziurkowata, sprężysta, wciąga wodę.

Mama. A jakże ci się zdaje, czy jest jakie podobieństwo pomiędzy kamyczkiem i gąbką? Pomyśl dobrze.

Adaś. Kamyczek jest nieżywy, nie rusza się, i gąbka także jest nieżywa.

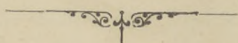
Mama. To prawda; ale trzeba ci wiedzieć, że kamyczek był zawsze martwy, a gąbka była dawniej żyjąca i wyrosła w morzu. Ziemia cała składa się z martwych minerałów i każdy kamień jest minerałem. Ale gąbka jest martwym szczątkiem żyjącej istoty. Może znajdziesz inne jakie podobieństwo.

Adaś. Już nie wiem, doprawdy... aha! chyba kolor. Ten kamyczek taki jakiś szarawy, jakby żadnego koloru nie miał i gąbka taka sama. Moznaby jeszcze powiedzieć, że kamyczek jest

szorstki, niegładki, czuję to, gdy go dotykam palcem. I gąbka jest także szorstka. Ale, proszę mamy, czy gąbki wyrastają w morzu tak, jak grzyby na ziemi.

Mama. Gąbka nie jest rośliną, tylko zwierzątkiem, bardzo dziwnem, bo nie ma ani oczu, ani nóg, ani żołądka. Żyjąca gąbka nie wiele się różni od martwej. Ale za życia te dziurki, teraz próżne, wypełnione są klejem; gąbka wciąga wodę z morza tak samo, jak teraz z miseczki wysysa pokarm z tej wody i tym sposobem powiększa się i wyrasta. Wyjęta z wody, zamiera.

Adaś. Nigdybym tego nie odgadł, mateczko, że gąbka była kiedyś zwierzątkiem.





FIOŁKI.

Mała Helcia poszła na przechadzkę z ciocią. Przechodzili przez śliczną łączkę zieloną. Na tej łączce pasły się gęsi i żółte gąsienki, a dwie dziewczynki wiejskie ich pilnowały.

„Helcia znała te dziewczynki i wiedziała, że jedna nazywała się Kasia,

a druga Józia. To były córeczki Grzegorzowej, młynarki.

— Dzień dobry, Kasiu, dzień dobry Józiu — powiedziała Helcia.

— Dzień dobry panience — odpowiedziały grzecznie obie dziewczątka.

Ale Helcia spostrzegła, że Józia miała oczki zapłakane i teraz jeszcze ocierała je fartuszkiem.

— Co tobie, Józiu, czego płaczesz? — zapytała.

Józia nie nie odpowiedziała, tylko znów oczy otarła fartuszkiem.

— Powiedz nam, moja Józiu, co ci się stało i czego się tak smucisz—rzekła ciocia, zbliżając się do dziewczynki i głaszcząc jej główkę.

A Józia ciągle milczała i twarzączkę zakryła rączkami, aż w końcu Kasia odpowiedziała za nią:

— Bo to, proszę paniusi, ona uciekała od gąsiora, od tego dużego, co to taki zły i tak syczy; zaczęła się o krzak i rozdarła nowy fartuszek, a teraz boi się, że matula będą łajali.

— Pokażno, Józiu, fartuszek—mó-

wiła ciocia — czy bardzo, rozdarty, możeby się to dało zacerować.

— Ale kiedy ja jeszcze nie umiem cerować, a matula czasu nie mają, to będą bardzo łajali — rzekła Józia płaczliwym głosem.

— Pokażno, pokaż — powiedziała ciocia — ja tu mam właśnie w kieszeni igły i nici, o! i napastrzek jest. Odwiąż fartuszek i daj, a ja ci ślicznie zaceruję, zobaczysz...

— O, moja paniusiu złota! — zawołała Józia uradowana; prędiutko odwiązała fartuszek i podała cioci.

A ciocia usiadła na zrąbanej kłodzie, włożyła napastrzek na palec, nawlekła igłę niteczką i tak ładnie zacerowała rozdarty fartuszek, że prawie nic nie widać było cery pomiędzy kolorowemi paskami.

— Ale pamiętaj, Józiu — mówiła ciocia, oddając fartuszek — żebyś nie ukrywała się z tem przed matką, jak powrócisz do domu, tylko się zaraz do wszystkiego przyznaj, a ona ci pewno wybaczy.

— Ej, już teraz matula gniewać się

nie będą, jak obaczą takie prześliczne cerowanie, bo tu u nas nikt w całej wsi tak nie potrafi—mówiła Józia zupełnie już wesoło i pocałowała w rękę dobrą ciocię.

Ciocia i Helcia poszły dalej aż do lasku, w godzinę dopiero wracały znowu przez tę samą łączkę, gdzie dwie dziewczynki siedziały zawsze przy swoich gąskach. Józia obaczyła z daleka ciocię i Helcię, powracające z przechadzki, zerwała się i podbiegła do nich. Dziewczynka trzymała w ręku trzy bukieciki prześlicznych fiołków świeżo zerwanych.

— Proszę paniusi, proszę panienki — mówiła i podała dwa najładniejsze bukieciki cioci, a trzeci Helci.

Nadeszła i Kasia, a że była daleko gadatliwsza od siostrzyczki, więc zaraz niepytana paplała:

— Ona tu sama już nie wiedziała czemu to paniusi odsłużyć za ten fartuszek, a ja jej powiedziałam, że wszystkie panie bardzo lubią fiołeczki i obieśmy nazbierały samych pachnących. Ona chciała wszystkie oddać paniusi,

a ja mówiłam, że i panience choć troszkę trzeba zostawić, boby jej było przykro.

Ciocia pocałowała obie dziewczynki w czoło i powiedziała:

— To bardzo ładnie, moje dzieci, że macie takie dobre, wdzięczne serduszka i za każdą przysługę zaraz chcecie się odwdzieczyć.

A gdy dziewczynki odeszły, Helcia powiedziała:

— Moja ciociu, jak to przyjemnie zrobić komuś przysługę.

NIEZGODA.

Józio miał szósty rok, a braciszek jego Micio piąty. Obaj byli grzeczni, roztropni, jedną tylko mieli wadę, w jednej rzeczy nie słuchali mamy.

Józio i Micio bardzo często się sprzecyzali z sobą. Jeżeli Józio chciał się gonić, to Micio zaraz mówił, że go nóżki bolą i zaczynał ustawiać żołnierzy blaszanych na stole, albo domki z kart budował. Wtedy braciszek starszy roz-

gniewany przychodził i wywracał mu za jednym zamachem żołnierzy, albo domek ślicznie zbudowany.

Micio płakał, nazywał Józia niegrzecznym, biegł do mamy skarżyć się na niego, a gdy mama dopytywała się Józia, dla czego młodszemu braciškowi dokuczał, ten także powtarzał toż samo:

— Ach! ten Micio niegrzeczny, brzydki, nieznośny.

Takie kłótnie, płacze i narzekania, powtarzały się codziennie, a nawet kilka razy na dzień. Ażeby tego uniknąć, biedna mama musiała synków rozdzielać. Józia zabierała do swego pokoju, a Miciowi kazała się bawić w salonie, pod dozorem bony. Najczęściej jednak kończyło się na tem, że Józio przyrzekał być grzecznym i szedł do Micia, albo znów Micio prosił, żeby mama pozwoliła mu pójść do Józia.

Wtedy zwykle z początku bawili się zgodnie, lecz w kilka minut rozpoczynała się sprzeczka, potem płacz i skargi. A zawsze Józio upewniał, że on był bardzo grzeczny, tylko ten Micio

taki nieznośny; Micio znów utrzymywał, że on nic a nic temu nie winien, tylko ten brzydki kłótnik Józio dokuczał mu okropnie.

Raz przyjechała ciocia tych chłopcyków i zabawiła kilka dni u mamy. Przykro jej było bardzo, gdy usłyszała zaraz na drugi dzień po przyjeździe taką sprzeczkę, a gdy się to powtórzyło raz, drugi i trzeci, powiedziała do mamy:

— Trzeba koniecznie rozdzielić tych chłopców, bo to wstyd i obraza Boska, żeby bracia rodzeni żyli w takiej niezgodzie. Ja Micia zabiorę z sobą; będzie mu u mnie dobrze i wygodnie, ja nie mam dzieci, z któremiby się mógł sprzeczać, tu znów Józiowi będzie daleko lepiej bez braciszka, bo mu już nikt nie dokuczy.

— A to dobrze—odpowiedziała mama — tak będzie doprawdy najlepiej. Ja upakuję rzeczy Micia i niech jedzie.

Tak się też stało. Micio bardzo kochał ciocię; nieraz do niej jeździł z mamą, wiedział, że mu tam będzie dobrze, a chociaż mu żal było odjeżdżać

od tatki i mamy, rozweselił się, gdy ujrzał powóz przed gankiem, bo lubił niezmiernie jeździć.

— Wio! wio koniki! — wołał przez całą drogę i przypatrywał się domom, drzewom, krówkom i barankom, pasącym się po łąkach, które mijali.

W domu ciotki dnia pierwszego było naszymu chłopczykowi bardzo wesoło; każda rzecz go bawiła, biegał po wszystkich kątach, rozpytywał się ciotki o to i owo. Ale ciotka miała różne swoje zajęcia, nie mogła od rana do wieczora rozmawiać z Miciem, i musiał przez większą część dnia sam się bawić pod okiem zaufanej służki.

Na drugi dzień już mu się przykrzyć zaczęło. Małgorzata, służąca ciotki, czuwała nad nim troskliwie, ale była to kobieta sędziwa, która nie mogła ani się z nim gonić, ani grać w piłkę; nie bardzo nawet lubiła rozmawiać, ciągle tylko robiła pończochę, a na pytania Micia odpowiadała ledwo w kilku słowach.

Trzeciego dnia już Micio zapytał ciotki, kiedy pojedą do mamy i do Józia.

— Do Józia?—zapytała ciocia zdziwiona — żeby ci znowu dokuczał i ciągle się z tobą sprzeczał? Ja właśnie dla tego cię tu zabrałam, żebyś się już raz pozbył tego nieznośnego Józia.

— Ależ on, ciociu, nie zawsze był taki nieznośny—odpowiedział Micio— a jak mu się tylko chciało być grzecznym, to tak wybornie umiał się bawić.

— Nie, moje dziecko — rzekła ciocia—lepiej, żebyś się trochę ponudził, a nie kłócił tak ustawicznie z braciżkiem, bo to bardzo brzydko i Pan Bóg się gniewa na takie niezgodne rodzeństwo.

— Ale kiedy ja nie troszkę, ja bardzo się nudzę, cioteczko — mówił Micio płaczkliwie.

— Cóż robić, kochanie — odparła ciocia — z dwojga złego zawsze mniejsze wybierać należy; lepsze już nudy, aniżeli obraza Pana Boga.

Westchnął Micio i nic nie powiedział, ale coraz więcej tęsknił za domem, i za wesołą zabawą, i za braciżkiem. Zaczął też sobie myśleć, że

gdyby teraz mógł tylko powrócić do Józia, toby już nigdy, nigdy się z nim nie sprzeczał i nie nazywałby go nieznośnym, bo mu bardzo źle było bez niego.

Toż samo prawie działo się z Józkiem, który pozostał w domu. Cicho tam teraz było i spokojnie; ani słycho owych brzydkich kłótni, płaczów i skarg. Ale za to Józio nie bardzo był wesół. Mama miała swoją robotę i nie mogła bawić się z nim przez cały dzień. Dawniej posprzeczał się z Miciem, ale i pobawił się z nim zawsze, a teraz nudno mu było strasznie samemu.

— Czy Micio już nigdy nie wróci? — zapytał raz mamy płaczącym głosem.

— Pocóż ma wracać, żeby ci znowu dokuczał — odrzekła mama.

— Ale jabym chciał, żeby on wrócił — mówił Józio — możeby już teraz był grzeczniejszy.

— Wolę żeby został u cioci — powiedziała mama — bardzo mu tam dobrze, a tu nie słychać przynajmniej

tej ustawicznej kłótni, która mnie tak martwiła.

Minęło znów kilka tygodni. Józio coraz częściej zaczynał z mamą rozmowę o Miciu i pytał, kiedy braciszek powróci, raz nakoniec rozplakał się rzewnie i długo utulić się nie mógł.

— Co ci jest, moje dziecko? — pytała mama zaniepokojona.

— Mamo, niech Micio wróci, mnie tak żal, że on pojechał — mówił Józio przez płacz — mnie tak źle bez niego. On przecież bywał bardzo grzeczny, teraz nawet dobrze pamiętam, że to ja najczęściej sam mu dokuczałem. Moja mamó, żeby on wrócił jaknajprędzej, tobym już nigdy, nigdy się z nim nie kłócił.

Prawie toż samo i w tym samym czasie wydarzyło się także u cioci. Ciocia zastała raz Micia płaczącego, a Małgorzata zakłopotana i zmartwiona nie mogła się go dopytać, co mu się stało.

— Ciociu, jedźmy do mamy i do Józia — zawołał chłopczyk, rzucając się na szyję cioci.

— Czy ci źle u mnie, czy ci czego braknie? — pytała ciocia niespokojna.

— O nic, nic, cioteczko — mówił Micio — tylko jabym chciał zobaczyć mamę i Józia. Jabym już teraz nie dokuczał Józiowi; on grzeczny, to ja zawsze tak grymasiłem... ale więcej już tego robić nie będę.

Ciocia napisała do mamy, mama odpisała, i pewnego dnia zaszły konie przed ganek, a ciocia rzekła do Micia:

— Pojedziemy na parę dni do mamy i do Józia, zobaczymy, czy wam dobrze będzie razem. Jeżeli się pokłócicie, to cię znów zabiorę do siebie.

Micio ucieszył się niezmiernie, a gdy przyjechali, Józio także się ucieszył obaczywszy braciszka. Uściskali się obaj serdecznie, zaczęli zaraz biegać razem po całym domu, opowiadać sobie różne ciekawe rzeczy i przez cały dzień ani razu się o nic nie posprzeżali.

Nazajutrz jednak około południa, przy zabawie w piłkę, niezgoda rozpoczęła się dlatego, że Józio chciał piłeczkę podrzucać i łapać w powie-

trzu, a Micio upierał się, aby ją toczył po ziemi.

— Ale kiedy ja chcę!

— Ale kiedy ja nie chcę!

Tak wołali chłopcy coraz głośniej i byłoby niezawodnie przyszło do gorszej kłótni, gdyby nie to, że mama usłyszała z drugiego pokoju na co się zanosi i weszła, mówiąc:

— Jakże to dobrze, że ciocia jutro odjeżdża i Micia z sobą zabiera. Znowu ci tu będzie spokojnie, mój Józiu, nikt ci nie dokuczy.

— O nie, nie, mamusiu! — zawołali obaj chłopczyki przestraszeni, a Józio dodał zaraz, zwracając się do Micia:

— Jeżeli chcesz tacać piłkę, to dobrze, ja tymczasem czem innem się pobawię, a potem będziemy się gonili.

— Ależ nie, Józieczku—powiedział Micio—rzucaj sobie piłkę, ja będę patrzył na ciebie, a jak tylko zechcesz, to się razem pobawimy.

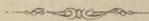
Następnego dnia znowu przyszło do jakiejś sprzeczki i znowu mama wspomniała, że lepiej byłoby może, żeby Micio już odjechał.

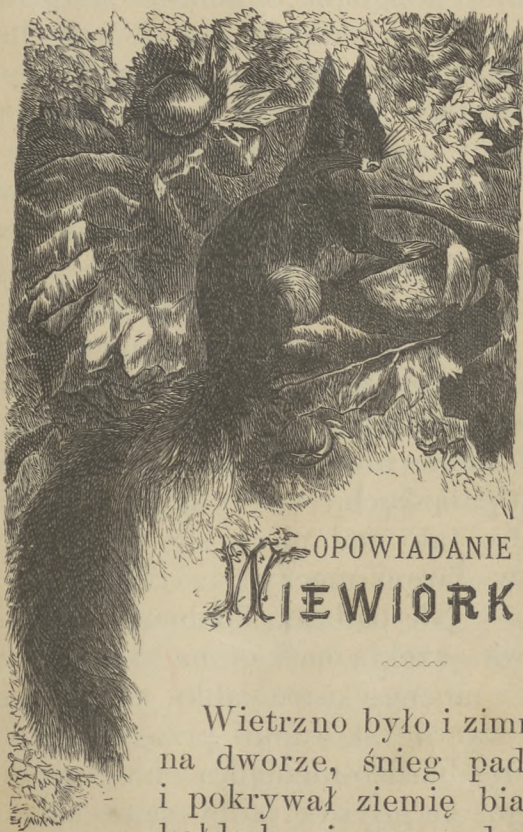
Chłopczyki natychmiast się pogodzili, bo obaj się tego bardzo obawiali.

Nakoniec ciocia musiała wracać do domu i raz jeszcze zapytała braciszków czy nie lepiej będzie, żeby Micio z nią odjechał?

— O, nie, nie! — zawołali obaj razem i Micio został, a mama powiedziała, że trzeba spróbować, ale jak tylko zaczną się sprzeczać po dawnemu, to zaraz napisze do cioci, ażeby po Micia przyjechała.

Nie przyszło jednak do tego, bo ile razy chłopczyki zaczynali jaką sprzeczkę, zaraz mama przypominała, albo sami sobie przypominali, jak to im było tęskno i smutno jednemu bez drugiego. Zawsze też odtąd ustępowali sobie wzajemnie i dobrze im z tem było.





OPOWIADANIE
WIEWIÓRKI.

Wietrzno było i zimno
na dworze, śnieg padał
i pokrywał ziemię białą
kołderką zimową, a drze-
wa posypywał szronem, ale w dużej

dziupli, ukrytej pomiędzy konarami starego drzewa, ciepło było i zaciszenie.

W dziupli tej mieszkała rodzina wiewiórek. Matka wiewiórka bardzo starannie urządziła to schronienie zimowe, otwór zatkała miękkim mchem, wysłała nim także łóżeczka dla siebie i dziatwy, nazbierała też w jesieni porządny zapas orzechów na zimę.

Cała rodzina zasiadła do podwieczorku i chrupanie orzeszków rozlegało się dokoła, a przytem i wesola gawędka nie ustawała ani na chwilę.

— Jaka to szkoda — mówiła jedna z młodych wiewiórek — że te orzechy takie twarde mają skorupki. Żeby tak same miękkie jąderka wyrastały na gałązkach leszczyny, nie potrzeby tak nad nimi się mozolić i zębów darmo męczyć.

— Nie bądźże, kochanko, taka leniwa — rzekła matka — na to masz przecież mocne i ostre zębki, ażebyś niemi te twarde skorupki przegryzała. Ty jesteś bardzo niemądra i nie rozumiesz tego, że gdybyś jadła same miękkie pokarmy i zębów nie używała tak, jak

należy, tobyś się nabawiła bardzo przykrych cierpień, a w końcu nawet niebyś jeść nie mogła. Ja to wiem z doświadczenia, bo kiedyś z tego powodu o mało się na dobre nie rozchorowałam.

— Jakto, mama chorowała z tego, że orzeszków nie gryzła? Ale jakże to się stało i cóż mama jadła wtedy? — wołały wszystkie młode wiewióreczki ze zdziwieniem i ciekawością.

— Ba! domyślacie się przecież, że nie z własnej ochoty wyrzekłam się tak zdrowego i smacznego pokarmu — mówiła stara wiewiórka — zmusiły mnie do tego smutne okoliczności. Wszak wiecie, bo wam to już nieraz opowiadałam, że byłam kiedyś w niewoli u ludzi.

— O, mateczko! — wołały młode — proszę nam jeszcze coś opowiedzieć z tych czasów niewoli. To takie wszystko ciekawe, chociaż straszne bardzo.

— Straszne to były czasy w rzeczy samej — rzekła stara wiewiórka, z głębokim westchnieniem — oby was Bóg strzegł od podobnego nieszczęścia.

— Więc mama tam orzeszków nie miała i chorowała z tego na zęby? — pytała owa wiewióreczka, co to narzekała przed chwilą na twarde skorupki.

— Miałam ja tam jedzenia dosyć, moje dzieci—mówiła matka—na głód uskarżać się nie mogłam, ale cóż z tego, kiedy mi dawano pokarmy niewłaściwe, do których nie byłam przyzwyczajona. Miałam podostatkiem różnych biszkopcików, a to rzecz smaczna, nie mogę inaczej powiedzieć, dawano mi także cukier, a ten mi jeszcze lepiej smakował, bo jest wyborny, a przytem dosyć twardy, nie tyle jednak, co skorupy orzechów.

Ale to najgorsze było, że nie miałam swobody i świeżego powietrza. Musiałam siedzieć zamknięta w ciasnej klatce; z rozpaczy skakałam jak szalona na jakieś kółko, które się ciągle na jednym miejscu obracało. Ach! ciężkie to było życie, na samo wspomnienie zimny dreszcz mnie przejmuje.

W domu, gdzie mię tak więziono, było kilkoro dzieci. Przypatrując im się zblizka i przysłuchując ich roz-

mowom, przekonałam się, że nie były złe, ani okrutne, tylko widocznie nie pojmowały tego, co cierpiałam i bawiły je moje męczarnie. Dzieci te znosiły mi różne łakocie, cukierki, ciastka, pierniczki, głaskały mnie, pieściły, przemawiały do mnie bardzo mile, a nie przyszło im na myśl, że mogły mię tak łatwo uszczęśliwić, wypuszczając na swobodę.

Czasem jednak udawało mi się wymykać z klatki, gdy służąca lub które z dzieci zapomniało ją zamknąć porządnie. Korzystałam zwykle z chwili, gdy nikogo w pokoju nie było i wtenczas uwijałam się i szperałam po wszystkich kątach.

Już wam mówiłam, że w tej niewoli zaczęłam cierpieć na zęby. Jedząc same miękkie pokarmy, nie potrzebowałam ich gryźć i ztąd zęby moje nadmiernie wyrastały. Zrozumiałam wtenczas, że nasze zęby są naumyślnie do takiego nieustannego gryzienia i skrobienia przeznaczone, bo gdy przy końcach się ścierają, od korzenia natomiast odrastają, a tym sposobem zawsze się

trzymają w jednej mierze. Ale gdy się nie rozgryza niemi, zęby przedłużają się z obu stron i wtenczas nie wiedzieć co robić, bo się zaginają przy końcach i nie już wtenczas przegryźć nie można.

Słyszałam od mojej babuni, że nieszczęśliwe wiewiórki ginęły czasem z głodu w niewoli z tej przyczyny, bo te zęby, tak strasznie wydłużone i zagięte, niezdatne są do gryzienia nawet i miękkich pokarmów. Ja też, dla uniknięcia tak smutnego losu, gryzłam co tylko złapałam, zwłaszcza, gdy mi się udało wyrwać z klatki.

Nieraz mi się zdarzało tym sposobem dużo szkody zrobić w domu, bo nie mogłam przecież odgadnąć, że tam pomiędzy sprzętami, stojącymi w pokojach, były niektóre bardzo kosztowne. Później dopiero dowiadywałam się o tem, gdy mnie łapano na uczynku i narzekano głośno, nazywając mnie nieznośną szkodnicą.

Raz, pamiętam, nabroiłam okropnie, pogryzłam śliczną rzeźbioną szkatułeczkę, a oprócz tego jakiś piękny dy-

wan i aksamitną serwetę na stoliku. Weszła służąca i zastała mnie siedzącą cichutko w kąci, lecz wnet spostrzegła wszystko i wpadła w gniew straszliwy. Porwała mnie za ogon tak gwałtownie, że byłaby mnie pewnie zabiła na miejscu, ale na szczęście nadbiegły dzieci i uratowały mi życie.

Przyjechał był właśnie wtenczas do tych dzieci jakiś uczony wujaszek, a gdy się dowiedział, co się stało, zaczął im tłumaczyć, że ja temu nie a nie nie winna, bo zapewne braknie mi twardych pokarmów do gryzienia i muszę sobie rada nie rada ścierać zęby na jakichkolwiek twardych przedmiotach.

Dowiedziałam się z tej rozmowy uczonego wujaszka z dziećmi, że oprócz nas, wiewiórek, zęby tego rodzaju mają także zające, króliki, myszy, szczury i niektóre inne zwierzęta, i z tego powodu ludzie nas nazywają gryzaczami, albo skrobogryzami.

Przy tej sposobności wujaszek mówił dzieciom piękne bardzo rzeczy, jak to i człowiek każdy powinien uży-

wać stosownie zdolności, danych mu od Boga, bo inaczej, gdy je zaniedba, mogą się obrócić na szkodę jego własną i innych ludzi; ale ja tam tego wszystkiego nie rozumiałam dokładnie.

Nie wiem doprawdy, coby ze mną było, gdybym w tej strasznej niewoli dłużej została, na szczęście jednak wydobylam się z niej nareszcie i to w sposób całkiem niespodziewany.

Jak wam mówiłam, byłam ja w wielkich łaskach u dzieci; gdy więc nadeszły wakacye i wszyscy wybrali się na wieś do tego uczonego wujaszka, i mnie także zabrano z moją klatką, bo dzieci rozstać się ze mną nie chciały.

Możecie sobie wyobrazić, co się działo z biedną waszą mateczką, gdyśmy przejeżdżali przez las, gdy obaczyłam piękne drzewa, zielonemi liśćmi pokryte, i spostrzegłam nawet wśród tych liści zwinną wiewiórkę, siostrzyczkę moję, skaczącą sobie swobodnie po gałęziach. O mało nie skończyłam z wielkiej żalości, ale nie było rady, musiałam siedzieć za kratą więzienną

z tą straszliwą myślą, że nigdy do tego rozkosznego życia już nie wrócę.

Ale Bóg zesłał mi nakoniec anioła wybawiciela. Wujaszek ten, do któregośmy przyjechali na wakacye, miał córkę jedyną, dwunastoletnią panienkę, która mnie odrazu pokochała niezmiernie i nacieszyć się mną nie mogła. Dzieci, które mnie z sobą przywiozły, kochały znów bardzo tę swoją cioteczną siostrzyczkę i gdy nadszedł dzień jej imienin, ofiarowały mię wraz z klatką na wiązanie solenizantce.

— Co, naprawdę darujecie mi tę śliczną wiewióreczkę? — zawołała ta dobra panienka uradowana — więc ona jest już teraz moją własnością, mogę z nią zrobić, co mi się spodoba? To dobrze, ja ją zaniosę do lasu i wypuszczę na swobodę.

— Jakto, nie chcesz się nią bawić? — zawołały dzieci zdziwione — a nam się zdawało, że ją tak lubisz...

— Lubię ją bardzo — powiedziała ta kochana dziewczynka — ale dla tego właśnie nie chcę jej zamęczać. Wiem dobrze, że ona zawsze będzie nieszczę-

śliwa w niewoli, choćbym jej nie wiem jak dogadzała i przysmaczkami pasła. A jabym chciała, żeby wszystkim było dobrze w dzień moich imienin.

I oto tym sposobem, moje dzieci, wyswobodzona byłam z niewoli.

MAŁA SIOSTRZYCZKA.

— Mama chora, głowa ją bardzo boli, niech panienki cichutko siedzą.

Tak mówiła służąca Julisia do dwóch dziewczynek. Starsza z nich, Kazia, miała już lat siedm i nie potrzebowała wcale tej przestrogi. Ona nie miała ochoty bawić się i hałasować, wiedząc, że mama chora; ale malutka, trzyletnia Bronka, jakby na przekorę, zaczęła grymasić i napierać się do mamy.

— Mój Boże, jakaż to szkoda, że panny Jadzi niema w domu — mówiła znowu Julisia — onaby i Bronkę zabawiła, i mnie pomogła mamie usłużyć.

Jadzia była to starsza siostrzyczka obu dziewczynek. Wczoraj właśnie wyjechała na kilka dni do babci, a wszy-

scy spostrzegli po jej wyjeździe, jak umiała być pożyteczną w domu.

Kazia zamysliła się na te słowa Julisi. Ona wprawdzie o trzy lata młodszą była od Jadzi, ale przecież już nie była malutkiem dzieckiem i gdyby tylko chciała, mogłaby także na coś się przydać. Teraz naprzykład trzeba było zabawić rozkapryszoną małą Bronkę. Gdyby Jadzia była w domu... i pomyślała sobie Kazia, coby to Jadzia zrobiła?

Wzięłaby pewnie jakąś książeczkę z obrazkami, pokazywałaby je dziewczynce i opowiadała takie ciekawe rzeczy, że Bronka zapomniałaby o grymasach i siedziałaby spokojniuteńko. Czemużby ona, Kazia, nie potrafiła tego samego zrobić?

I zaraz przywołała malutką siostrzyczkę, rozłożyła książkę z ładnymi rycinami, którą niedawno od stryjaska dostała i zaczęła opowiadać Bronce różne zabawne bajeczki, bo już sama tę książeczkę przeczytała.

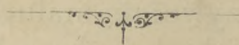
Mama tymczasem usnęła i przebu-

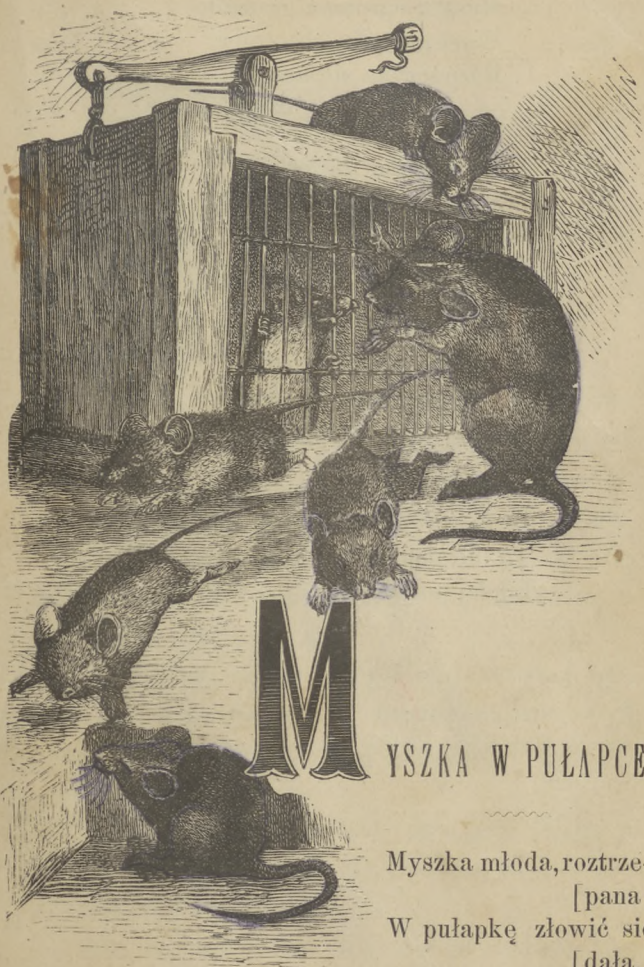
dziła się znacznie zdrowsza. Przywołała zaraz do siebie obie córeczki.

— A jaka to grzeczna była moja Bronka — mówiła mama — tak cichutko siedziała i nie przebudziła mnie. Myślałam, że tu będzie grymasów bez końca, bo to i Jadzi teraz niema w domu.

— I ja tak myślałam — odezwała się Julisia — ale jest panna Kazia, także przecież starsza od Bronki i nad wiek doprawdy rozumna. Już teraz i z panny Kazi będzie pomoc w domu.

Mama uściskała córeczkę, a Kazię te słowa Julisi niezmiernie ucieszyły; bo też wielka to radość dla małej dziewczynki, kiedy wie, że już jest użyteczną w domu.





M

YSZKA W PUŁAPCE.

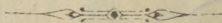
Myszka młoda, roztrze-
[pana
W pułapkę złović się
[dała,
I nieboga, sfrasowana,
Na swą dolę narzekala.

Myszek ogromna gromada
Wnet pułapkę obstała;
Rozpoczyna się narada:
— Jakżeś ty się tu złowila?

A! słoninki się zacheiało.
Fe, łakomą być nieładnie,
Widzisz teraz co się stało,
Żle, gdy się w pułapkę wpadnie.

Teraz cierpisz z własnej winy;
Pocoś taka nieostrożna?
Poco brać się do słoniny,
Czy to się wstrzymać nie można?

-- Ach -- biedna myszka zawoła,
— Ganić wy wszystkie umiecie;
To nie pomoże nic zgoła,
Lepiej poradzić coś przecie.





GNIAZDECZKO.

Było lato, pogodnie i ciepło. Jaś wybiegł do ogrodu i cieszył się, że tak ślicznie na dworze, tak zielono, tyle kwiateczków wszędzie; przysłuchiwał się, jak brzęczą różne owadki, latając w powietrzu, a w krzakach ptaszęta świegocą.

Jeden głosik szczególnie wydał mu się bardzo miłutki, chociaż nie był wesoły, ale przeciwnie troszkę żalósny. Jaś myślał sobie:

— Co to musi być za prześliczny ptaszeczek! Jak on to ładnie woła: ki-ri-ri-ri! ki-ri-ri-ri!

Ale chłopczyzna nie mógł zrazu tego ptaszeczka dojrzeć, więc zaczął słuchać uważnie, z kądem głos się odzywa

i doszedł, że z głębi krzaka niezbyt wysokiego.

Jaś przybliżył się bardzo ostrożnie, żeby ptaszyny nie spłoszyć, stanął tuż przy krzaczku, wspiał się na paluszki i zajrzał pomiędzy gałązki. Ach! jakąż prześliczną rzecz tam obaczył!

W głębi krzaku, pośród gałązek, było małe gniazdeczko, a w niem siedziało kilkoro pisklątek takich zabawnych, bez piórek i z żółtymi dziobkami. Wszystkie wyciągały szyjki i patrzyły na większą ptaszynę, pewnie mateczkę swoją, Jaś odrazu się tego domyślił.

A ta mateczka czegoś się żaliła, wołając ciągle: kiri ri ri!

Jaś stał nieporuszony, nawet oddech zatrzymywał, oczki tylko roztwierał szeroko i zaglądał na wszystkie strony, aż w końcu zobaczył, czego biedna ptaszyna tak się skarży i żali. Pod krzakiem, na ziemi, leżało malutkie pisklątko, takżeż same, jak te, co w gniazdeczku siedziały, i piszczało biedactwo, ale tak słabiuchno, że Jaś dopiero je teraz usłyszał.

Chłopczykowi żal bardzo zrobiło się pisklątka, bo się domyślił, że ono jakimś przypadkiem z gniazdka wypadło, a mateczka podnieść go nie może. Teraz pewnie przyjdzie kot, schwyci opuszczone biedactwo i poźrze. Ale nie, nie, Jaś na to nie pozwoli, on pisklątko poratuje w nieszczęściu.

I schylił się chłopczyk, wziął bardzo ostrożnie, bardzo leciutko maleństwo w paluszki, nie go nie cisnął, nie dusił, i włożył napowrót do gniazdka.

O cóżto była za radość! Matka ptaszyna zawołała znowu: kiri ri ri! ale tak jakoś wesoło, radośnie, że i Jasiowi serduszko się rozradowało.

Napatrzywszy się na ptaszeczki do woli, odszedł od gniazdka, biegał po ogrodzie, bawił się, a przez cały dzień uśmiechał się sam do siebie, tak mu było przyjemnie, że przysługę wyrządził biednym ptaszynom i poratował je w biedzie.

~~~~~

## LUDKA.

— Ach! nieznośne dzieciśka. Zawsze mi się porozkładają ze swojemi obrzydłemi gratami. Sto razy powtarzałem, że to moje miejsce. Czy słyszycie?

Tak wykrzykiwał Oleś, zastawszy młodsze rodzeństwo, Michasia i Ludkę, przy stoliku, gdzie zwykle zasiadał po powrocie ze szkoły.

Oleś był bardzo popędliwy, nie przestał więc na krzyku, ale schwycił papier, na którym Michaś malował coś farbami i rzucił o ziemię razem z pudełkiem farb, a te rozsypały się na wszystkie strony. Potem tak samo porwał robótkę Ludki, prześliczną nową sukienkę dla lalki, rozdarł ją od góry do dołu i pod stół rzucił.

Dziewczynka się rozplakała, bo jej żal było, i pięknej niebieskiej materyi, i starannej roboty.

Michaś cały poczerwieniał z gniewu, bo i on nie był cierpliwy, zerwał się od stolika, i nie mówiąc ani słowa, pobiegł do pokoju ojca poskarżyć się

na starszego brata. Po chwili powrócił z głową podniesioną i powiedział:

— Poczekaj, niedobry Olesiu, będziesz ty miał za swoje. Zobaczysz, zobaczysz, ty wiesz, że ojciec nie żartuje, wyłaje cię porządnie, i będziesz musiał mnie przeprosić.

— Oho! jeszcze czego! — mruknął Oleś, trochę jednak niespokojny, bo wiedział naprawdę, że ojciec nie żartuje.

Ludka tymczasem otarła z łez oczki i pozbierała smutne szczątki ładnej sukienki. Westchnęła, gdy obaczyła, że już się z tego nic nie da zrobić, a usłyszawszy słowa Michasia, wsunęła zmięty łachmanek do kieszonki i niespokojnie patrzyła na obu braciszków, nie mówiąc ani słowa.

Wtem ojciec wszedł do pokoju, a z groźnego wejrzenia, z namarszczonego czoła, dzieci poznały, że się zanosi na coś niedobrego. Oleś stał ze spuszczonei oczyma i ustami zaciśniętymi, Michaś zasunął się w kącik i spoglądał z pod oka, to na rozsypane swoje farby, to na zafrasowaną minę brata. Ale nim ojciec zdążył przemó-

wić, już Ludka pochwyciła go za rękę i całując serdecznie, mówiła rzewnym głosem:

— Ojczulku, kochany ojczulku, proszę nie łąać Olesia. On się zniecierpliwił, a my doprawdy złeśmy zrobili, żeśmy sobie gdzieindziej nie usiedli do zabawy, skoro on lubi to miejsce przy stoliku. Ja już nie a nie się na niego nie gniewam, a i Michaś prędko zapomni i coś innego sobie wymaluje. My się pogodzimy, nieprawdaż, Olesiu, Michasiu? Mnie tak przykro, tak przykro, gdy ojciec się gniewa na którego z was... wolałabym już, żeby na mnie.

I dobra dziewczynka od łez wstrzymać się nie mogła. Ojciec położył rękę na jasnej jej główce, czoło jego się rozjaśniło, a w tejże chwili Oleś przyskoczył do małej siostrzyczki, objął ją czule i całując w obie rączki, zawołał:

— Przepraszam ciebie, moja Ludko droga, przepraszam. Zrobiłem szaleństwo i warto, żeby mię ojciec wyłajał; ale teraz przyrzekam ci, siostrzyczko, że nigdy, przenigdy, nie zrobię ci za-



dnej przykrości. A tożby chyba trzeba nie mieć serca.

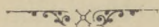
— Pogódźcież się i z Michasiem — rzekła Ludka uradowana — pogódźmy się wszyscy i wszyscy razem prośmy ojca, żeby się na nas nie gniewał.

Michaś trochę zawstydzony wysunął się z kącika, Ludka go pociągnęła do Olesia i uściskali się obaj bracia.

Ojciec tymczasem zupełnie się rozmarszczył, uśmiechał się nawet, patrząc na zgodę dzieci. Nakoniec zbliżył się do Ludki, podniósł ją w górę, uściskał i rzekł wzruszonym głosem:

— Bądź zawsze taką, moje dziecko, bądź dobrą, kochającą, pamiętaj, że najwyższem dobrem naszym na ziemi jest pokój; pamiętaj na te słowa Zbawiciela:

„Błogosławieni pokój czyniący.“





## M A G N E S.

— Patrz, Waciu, patrz; jak płynie kaczeczka prosto do mnie. A teraz w tę stronę popłynie, a teraz w tę. O, jak to zabawnie, jak zabawnie!

Tak mówiła Halinka, a Wacio, malutki jej braciszek, śmiał się i pokazywał paluszką na kaczeczki, wołając: O! o!—bo on jeszcze mówić nie umiał.

Ślicznażbo to była zabawka, dostały ją dzieci na gwiazdkę od stryjaska, dwie blaszane kaczeczeki, pływające po wodzie, a do tego był kawałeczek magnesu, takiego żelaza, co przyciąga inne małe żelazka do siebie. Jak tylko Halinka magnes do kaczeczek zbliżyła, one zaraz do niego podpływały, jakby były żywe.

— Co to jest, mateczko? — pytała Halinka — jakim sposobem to zabawne żelazko tak przywabia do siebie kaczeczeki?

— Magnes ma taką własność — powiedziała mama — Pan Bóg ustanowił na świecie wielki porządek i wszystkie rzeczy muszą się tego porządku trzymać. Widzisz, jak martwe nawet przedmioty słuchają przykazania Bożego. Kaczeczka blaszana zawsze za magnesem bieży, każdy ciężar zawsze na ziemię upada, a jak będziesz starsza, to zrozumiesz, że i słońce, i gwiazdy, i ziemia i najdrobniejsze pyłki na niej, zawsze jednakowo się poruszają, według odwiecznego rozkazu Bożego.

— Jakież to śmieszne te kaczeczki!  
— wołała znowu Halinka— przysuwam palec, przysuwam patyczek, ani się ruszą; a jak tylko ten magnesik przysunę... o, jak płyną! jak prędziutko!

— Możesz być pewna, że się nie omylą — mówiła mama.

— Alboż one mają rozum, mateczko?— rzekła Halinka zdziwiona.

— Nie, moje dziecko — odpowiedziała mama — te kaczeczki rozumu nie mają i nie wiedzą, co robią, nie mogłyby zrobić inaczej. Ale dzieci mają rozum i powinny dobrowolnie słuchać woli Bożej i woli rodziców, bo rodzice wiedzą najlepiej, co jest dla dzieci dobre, a co złe.

— Jabym zawsze słuchała, mateczko, gdyby mnie jaki magnes tak ciągnął — szepnęła Halinka cichutko.

— Masz taki magnes w swoim serduszku, Halinko — rzekła mama — czy nie czujesz tego? czy cię tam nic nie ostrzega, jeśli chcesz co złego zrobić? Słuchaj tylko tego głosu, idź za nim tak, jak ta blaszka za magnesem, a bę-

dziesz zawsze spełniała swoje powinność i wolę Bożą.

~~~~~

JANEK I ZOSIA.

— Żebym to ja już prędzej urosła— mówiła Zosia, składając z westchnieniem zabawki, bo mama jej przypominała, że trzeba dokończyć robótki.

— O, i ja także chciałbym urosć jaknajprędzej—rzekł braciszek jej Janek—żeby się już raz pozbyć tych nudnych lekcyj.

— Ja, jak będę duża—mówiła Zosia—nie a nie będę robiła od rana do wieczora.

— I ja toż samo—dodał Janek—będziemy sobie przez cały dzień spacerowali, bawili się i odpoczywali.

— Cóż znowu za niedorzeczne myśli przyszły wam do głowy—odezwała się mama, która usłyszała tę rozmowę dzieci i zbliżyła się do nich. Wszakże i ja, i ojciec, jesteśmy dorośli, a czy to my kiedy próżnujemy od rana do wieczora?

— Bo mama lubi ciągle coś robić

i ojciec także — mówiła Zosia troszkę zawstydzona — ale gdyby mama nie chciała... nikt mamy przecież zmusić nie może...

— Sądysz więc — rzekła mama — że ja zawsze tylko to robię, co lubię? Teraz naprzykład miałabym ochotę usiąść sobie na kanapie i czytać jaką ciekawą książkę; chętniebym także pojechała do ciotki i zabawiła u niej przez cały wieczór. Takbyśmy sobie rozmawiały wesoło. Ale nie zrobię tego, bo mam ważne zajęcia w domu. Nie mogłabym się bawić spokojnie, bo sumienie wyrzucałoby mi ciągle, że nie dopełniłam obowiązku. Ta myśl popsułaby mi wszelkie przyjemności.

— A mnie się zdawało — szepnął Janek zakłopotany, że to tylko dzieci zapędzają do roboty, a jeżeli ktoś jest dorosły, a do tego bogaty...

— Każdy człowiek — mówiła mama — czy bogaty, czy ubogi, powinien coś robić, żeby był użyteczny, bo poto go Pan Bóg stworzył. Pismo św. powiada: „Kto nie chce robić, niech też nie je.“

sia — że to wcale nie wesoło być dużą, kiedy tak o tem wszystkiem pamiętać potrzeba. Ja myślałam, że skoro mnie nikt zmuszać nie będzie...

— Moje dzieci— rzekła mama— dziś rodzice zmuszają was do pracy dla tego tylko, ażebyście umiały później zmuszać się do niej same, gdy już trochę więcej rozsądku mieć będziecie.

— Ale, moja mamó — mówił Janek— trudnoż znowu ciągle, bez ustanku pracować. A jakże tu zgadnąć, kiedy już dosyć i kiedy można sobie troszkę popróżnować?

— Możesz być o to spokojny— mówiła mama— dzieci nie potrzebują się zastanawiać nad tem, powinny tylko słuchać rodziców, a ci im zawsze wskażą, co mają robić i co jest ich obowiązkiem. Bo rodzice mają znów święty obowiązek czuwać nad dziećmi.

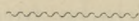
Dzieci milczały przez chwilę, musiały myśleć nad tem, co usłyszały. W końcu odezwał się Janek zafrasowany:

— Moja mamó, ja jednak troszkę się boję, czy ja nie jestem nieużyteczny na świecie; bo to przecież, co ja

robię, te wszystkie moje lekcye, nikomu się na nie przydać nie mogą.

— Ach, to prawda — dodała Zosia — my nie jesteśmy pożyteczni.

— Dla tego właśnie uczycie się teraz, moje dzieci — odpowiedziała mama — żebyście później potrafiły być pożytecznymi. Idź, Zosiu, do swojej robotki, a ty Janku, zabierz się do nauki. Dopełniwszy obowiązku, ze spokojnem sumieniem możecie potem bawić się i odpoczywać.



M A J Ó W K A.

Anielka niecierpliwie wyglądała niedzieli, bo dnia tego miała po raz pierwszy tej wiosny pojechać z matką za miasto, i spodziewała się spotkać w lasku dzieci, z którymi się zawsze wybornie bawiła. Już od dawna sobie układali, jak będą różne gry urządzać, pomyślano także o podwieczorku, który tak zawsze wyśmienicie smakuje na świeżem powietrzu.

Nadeszła wreszcie niedziela i dziew-

czynka wesolo usiadła do powozu z mamą. Miały jeszcze po drodze wstąpić po Marynię, cioteczną siostrzyczkę Anielki. Ona także cieszyła się niezmiernie na tę przejażdżkę, bo dla dzieci, mieszkających w mieście, zamkniętych zawsze w murach, taka majówka, zabawa na murawie, widok drzew, kwiatów, jest wielką rozkoszą.

Ale pokazało się, że Marynia jechać nie mogła, bo tegoż samego dnia upadła ze schodów i wykręciła sobie nóżkę. Leżała więc biedaczka na szeslongu, a matka przykładala jej co chwila wodę zimną do bolącego miejsca. Gdy Marynia zobaczyła Anielkę wesolą, podskakującą, wybraną już do przejażdżki, nie mogła się od płaczu powstrzymać. Ale nie było rady. Ból wprawdzie nie bardzo jej dokuczał, doktor jednak wyraźnie zabronił wstać, żeby się co gorszego nie zrobiło.

Anielka kochała bardzo cioteczną siostrzyczkę i zasmuciła się, widząc jej lży. Usiadła przy Maryni i próbowała ją pocieszyć i zabawić. Zabrała się z nią do odgadywania łamigłówek w Przy-

jacielu Dzieci i w Wieczorach Rodziny, potem zaczęły obmyślać nowe zagadki i postanowiły je przesłać w liściku do redakcyi którego z tych pism. Marynia tak się tem zajęła i zabawiła, że zapomniała o swoim zmartwieniu.

Ale gdy mama Anielki wstała i przypomniała córeczce, że już pora jechać, biedna Marynia zasmuciła się znowu i łezki jej w oczach stanęły.

— Moja mamó — rzekła wówczas Anielka, całując matkę w rękę—może my już dziś nie jedźmy, ale zostanmy tu aż do wieczora. Tam na majówce i bezemnie się wszyscy zabawią, bo ich taka spora gromadka, a biednej Maryni bardzo będzie nudno i przykro samej zostać.

— O nie, Anielciu — zawołała Marynia—ja nie chcę, żebyś ty się wyrzekła dla mnie tak wielkiej przyjemności. Jedź, jedź, opowiesz mi potem, jak się tam będziecie bawili.

— O, jeżeli o to idzie—rzekła wesoło Anielka — to przecież i Józia, i Helcia, i Oleś opowiedzą nam jutro

wszystko, a jestem pewna, że ci daleko będzie weselej, jeśli ja z tobą zostanę. Widzisz, Maryniu, ja sobie zaraz pomyślałam, że gdybym to ja wykreśliła nóżkę, tobym się okropnie nudziła sama jedna i bardzobym była rada, gdybyś ty przy mnie posiedziała.

Marynia chciała jeszcze coś mówić, ale mama Anielki uściśkała obie dziewczynki i powiedziała:

— Cieszę się bardzo, że moja córeczka ma dobre serce i umie zrobić ofiarę z własnej przyjemności dla tych, których kocha. Kto myśli tylko o sobie, nazywa się samolubem. Spodziewam się, że żadna z was na tę brzydką nazwę nie zasłuży.

I została Anielka z chorą Marynią aż do wieczora, nie żałowała wcale majówki, bo obie wybornie się bawiły.





ADAŚ W POLU.

Adaś wyszedł z mamą na przechadzkę. Było już po żniwach, a mama mu powiedziała, że takie pole, gdzie

zboże ścięto, nazywa się ściernisko. Adaś biegł naprzód i co chwila podnosił kłosa pogubione przez żniwiarzy, rozcierał je w rączkach, i wybierał z nich ziarnka. Rozmawiał przytem z mamą i dopytywał się jej o różne rzeczy.

Adaś. Moja mateczko, jak to dziwnie; ja te ziarneczka zaniosę do pokoju, schowam w szufladkę i będą tam sobie leżały spokojnie. Ale jak tylko je włożę w ziemię, zaraz zaczynają wyrastać, wypuszczają zielone listeczki i rosna, rosna, aż póki kłoski z nich nie wyjdą i nowe ziarneczka nie dojrzeją. Ja to wszystko wiem, pamiętam, jak mi mama opowiadała; ale czemu one w szufladce nie wyrastają?

Mama. Bo w szufladce nie mają żadnego pokarmu.

Adaś. Chyba mama żartuje; przecież ziarnka nie umieją jeść.

Mama. Mylisz się, synu; gdyby się nie żywiły, nie mogłyby żyć. Suche takie ziarnko jest jakby uspione, dla tego może się obejść bez pokarmu,

lecz gdy je włożymy w ziemię, zaraz się przebudza do życia.

Adaś. Ja doprawdy nie wiedziałem nawet, że takie ziarnko żyje.

Mama. Wszystko, co tylko rośnie, rodzi się i umiera, czy zwierzątko, czy roślina ma w sobie życie. Martwe tylko glazy nie żyją.

Adaś. Jakżeż one jedzą te wszystkie roślinki?

Mama. Spróbuj, wyrwij z ziemi ziółko jakie z korzonkiem i połóż na trawniku. Obaczysz, jak prędko zwiędnie. A dla czego? bo mu zabraknie żywności. Korzonki tę żywność z ziemi sobie wciągają.

Adaś. A cóż tam w ziemi jest do jedzenia?

Mama. Niema tam zapewne takich przysmaczków, jakie ty zajadasz, ale roślinki czego innego potrzebują. Ty na przykład nie jadłbyś żadnej rzeczy martwej: kamyczków, ziemi, piasku. Jesz co prawda sól i pijesz wodę, ale nie wykarmiłbyś się solą i wodą. Musisz mieć koniecznie bułeczkę ze zboża, pieczone z kurczątka lub kotlecik

z wołowiny. To zboże, z którego robią mączkę na bułeczki, potrzebuje także pokarmu, aby mogło wyrość i wydać ziarno; ale ono poprzestaje na tem, co korzonki znajdują w ziemi, a listeczki w powietrzu.

Adaś. W powietrzu? Alboż one jedzą i powietrze, alboż tam co jest do jedzenia? toż tam nie a nie niema.

Mama. Spróbuj, odetchnij. Czy nie czujesz, że tam coś jest, co ty wciągasz? To *coś* i tobie jest bardzo potrzebne, inaczej, nie mógłbyś oddychać. Ale są także w powietrzu wyziewy szkodliwe dla ludzi, niektóre z nich wężem czujemy, bo mają brzydki zapach. Otóż roślinki takie właśnie niedobre powietrze na pokarm sobie wciągają.

Adaś. No, toż dopiero jedzenie! A korzonki, to już chyba ziemię i piasek gryzą, choć zębów przecież nie mają.

Mama. Nie potrzebują gryźć; żadna roślina nie może się obejść bez wody. Dla tego to ziarenka nie rosną, a gdy długo deszczu niema, trawki i ziółka więdną. Ale skoro woda przemoczy ziemię, te wszystkie twarde rzeczy roz-

puszczają się w niej tak samo, jak cukier w herbatce, a rośliny piją ten sok korzonkami. Sok ten podnosi się i płynie przez łądygi aż do góry, wszędzie go troszkę zostaje po drodze i powoli robi się coraz gęstszy. Ziemia, woda, powietrze, przemieniają się cudownie w roślince i wyrabiają się z tego różne smaczne rzeczy: mączysty kartofel, kłos ze zbożem, słodka gruszcza, główka kapusty, i ludzie to wszystko potem zajadają.

Adaś. A toż zupełnie, jakby w jakiej kuchence: bierze się różne rzeczy, tłucze się w moździerzu, miesza się, gotuje, smaży i robi się z tego coś bardzo dobrego: ciasteczka, leguminki, kremy.

Mama. Ba, nie zupełnie to tak jest w roślinkach. W ciastku, legumince, zostaje zawsze też sama mąka, też same jajka, i cukier, i rozynki, tylko się to wszystko zmiesza i rozgrzeje w kuchni. Ale gdybyś nie wiem jak tłukł w moździerzu i smażył na ogniu piasek, wapno, glinę, nigdybyś z tego nie potrafił zrobić ziarenka zboża lub gruszczyki.

Adaś. A to jakimże sposobem w roślinkach takie dziwne rzeczy się robią?

Mama. Jest na tym świecie dużo dziwnych rzeczy, a nietylko małe dzieci, lecz i dorośli i uczeni ludzie, zrozumieć i wytłómaczyć tego wszystkiego nie mogą. Bóg obdarzył rośliny taką cudowną zdolnością. On stworzył najpierw na ziemi minerały, wodę i powietrze, potem dał życie roślinom i kazał im te martwe rzeczy przerabiać i przemieniać tak, ażeby mógł być z tego pokarm dla zwierząt i dla ludzi. Bo Bóg wszystko mądrze obmyślił na tym świecie.

WĘDRÓWKA CELINKI

DO ZACZAROWANYCH KRAJÓW.

Dzień był mroźny, ale pogoda prześliczna, słońce świeciło jasno, śnieg przykrył ziemię, i drzewa szronem ubiełił.

Mama pozwoliła Celinie pójść na przechadzkę. Dziewczynka włożyła cie-

płą salopkę i berlaczyki, włóczkowy kapturek na główkę, a rączki schowała w mufeczkę.

Bardzo przyjemnie było chodzić po śniegu, bo tak głośno chrupał pod nóżkami. Celinka szła ciągle naprzód, nie oglądając się poza siebie. Przeszła ogródek, potem łączkę za ogródkiem i zbliżyła się do lasku, gdzie latem mnóstwo ptasząt świegotało na gałęziach i mnóstwo kwiateczków było w trawce. Ale teraz ptaszki wszystkie odleciały do cieplejszych krajów, a ziółka spały pod śniegiem.

Celinka szła śmiało dalej przez lasek, nucąc piosenkę. Wtem usłyszała za sobą głosik jakiś cieniutki, wołający:

— Ku-ku! ku-ku!

Celinka wiedziała, że zimą niema kukulek w lesie, ciekawa więc była bardzo, kto tak na nią woła; patrzyła w górę, obracała się na wszystkie strony, ale nic dojrzeć nie mogła. A głosik odzywał się raz po raz, to dalej, to bliżej, i nie było sposobu rozpoznać, z kąd wychodził, aż w końcu nasza dziewczynka spostrzegła małą główkę,

wychylającą się z za grubego pnia i zabawny mały człowieczek wyskoczył z tej kryjówki i stanął przed nią.

Celinka poznała odrazu, że to nie był mały chłopiec, tylko karzełek, bo dzieci mają odmienny wyraz twarzy; o karłach zaś słyszała nieraz, chociaż nigdy jeszcze żadnego na własne oczy nie widziała. Inna dziewczynka na jej miejscu byłaby się może przestraszyła, ale ona nie była wcale bojaźliwa i ucieszyła się nawet, że będzie miała z kim pogadać; więc odezwała się zaraz:

— Jak się masz, karzełku, co ty tu porabiasz? może pójdziesz ze mną na przechadzkę?

— I owszem — odpowiedział grzecznie karzełek — ja także wyszedłem na przechadzkę, a więc razem sobie teraz pójdziemy. Ale jak się panienczka nazywa?

— Nazywam się Celinka. A ty?

— Ja nazywam się Chochlik.

— A gdzie ty mieszkasz, Chochliku? Mówiąc to, Celinka przypomniała sobie, że słyszała nieraz od swojej pia-

stunki o karłach, co mieszkają w krajach zaczarowanych, w podziemnych jaskiniach i strzegą zaklętych skarbów. Dodała też zaraz, nie czekając odpowiedzi karzełka:

— A może ty mieszkasz w prześlicznym zaczarowanym pałacu, pod ziemią, i pilnujesz skarbów, złota i prześlicznych, drogich kamieni? O, gdybyś ty mi takie cudne rzeczy pokazał!

— Więc nie chciałabyś mieć na własność tych skarbów, panienczko, tylko popatrzeć na nie? — zapytał karzełek z uśmiechem figlarnym.

— Alboż ty naprawdę masz jakie skarby, mój Chochliku? — zawołała Celinke, składając rączki, bo z wielkiego podziwienia i radości wyjęła je obie z mufeczki. Dobrze, że mufeczka była uwiązana na wstążce u szyjki, bo inaczej upadłaby w śnieg.

— Jestem przełożony nad różnemi skarbami na ziemi i pod ziemią — mówił karzełek, prostując się z dumą bardzo zabawną i podpierając się w boki obiema rękami. — Mogę temi skarba-

mi obdarzać grzeczne dzieci; a slysze-
liśmy już o tem i w zaczarowanych
krajach, że panna Celinka jest bardzo
grzeczna.

— O, mój Chochliku!—wołała Ce-
linka uszczęśliwiona — chodźmyż prę-
dziutko do zaczarowanych krajów po
te śliczne skarby. A czy one nie bar-
dzo ciężkie, czy ja będę mogła je pod-
nieść? Bo jabym zaraz chciała zabrać
sвій skarb do domu, pokazać mamie,
tacie i braciszkom.

— Oho! oho! — mówił karzełek,
kręcąc pocięsznie główką.

Celinka nie zważała na to, bo nie
wiedziała, co to miało znaczyć; wło-
żyła rączki w mufeczkę, karzełek po-
szedł naprzód, a ona za nim. Nasza
dziewczynka otwierała oczki i uważnie
rozglądała się na wszystkie strony,
pytając co chwila, czy daleko jeszcze
do zaczarowanych krajów.

A wtem słoneczko zabłysło jasno
pomiędzy drzewami i Celinka aż wy-
krzyknęła z podziwu i zachwycenia.
Na gałązkach drzew niskich i krzaków,
nawet i na ziemi, na śniegu, wszędzie

błyszczało, migotało, wszystkie barwy tęczowe mieniły się w oczach dziewczynki, jakgdyby kto rozsypał niezmierne mnóstwo brylantów, szmaragdów, rubinów, topazów, ametystów i różnych drogich kamieni.

Celinka widziała właśnie niedawno u jednej pani prześliczne klejnoty: naszyjnik, koleczyki, brosze, bransoletki i pierścionki z takimi pięknymi, kosztownymi kamyczkami; zaraz też sobie przypomniała, co jej ta pani opowiadała, że rubin jest purpurowy, szmaragd zielony, ametyst fioletowy, topaz żółty, a brylant biały, przezroczysty, jak szkło, ale przy świetle błyska iskrami i różnemi barwami migoce prześlicznie.

— Chochliku—zawołała dziewczynka i znowu wydobyła obie rączki z muffki, i klasnęła niemi radośnie, — Chochliku, może to już zaczarowane kraje, a to te skarby, coś mi je obiecał? O! powiedz, czy mogę zbierać te cudne rubiny, szmaragdy i brylanty?

— Jeśli te skarby ci się podobają, panienczko, możesz ich sobie nazbie-

rać, ile tylko chcesz — odpowiedział grzeczny karzełek.

A Celince tego tylko było potrzeba. Poskoczyła szybko, jak sarenka, nie wkładała już rączek w mufeczkę, ale zaczęła chwycić na wszystkie strony, gdzie tylko spostrzegła coś błyszczącego i kolorowego. Szczęściem, że miała na rączkach rękawiczki jelonkowe, więc nie bardzo zmarzła.

Celinka chciała te śliczne rzeczy pakować zaraz do kieszonek, ale co pochwyciła błyszczący rubin, szmaragd, albo brylant i spojrzała nań zblizka, a tu w paluszkach jest tylko bryłka lodu lub odrobina śniegu i wszystko w tej samej chwili w wodę się rozplływa.

— Co ja tu zrobię z temi skarbami, mój Chochliku — rzekła w końcu Celinke zakłopotana i zasmucona — tak to wszystko prześlicznie wygląda zdaleka, a zblizka się rozplływa i niema nic.

— A to kłopot prawdziwy — rzekł Chochlik z miną zafrasowaną — ale cóż robić. Ty jesteś jeszcze mała, moja

panieneczko, i nie wiesz o tem, że nie-tylko w zaczarowanych krajach, ale i w świecie zwyczajnym zdarza się to samo. Wiele jest rzeczy, które zdaleka wyglądają cudnie, a gdy się zbliżymy, nie możemy w nich nic pięknego dopatrzeć i dziwimy się, że nam się tak bardzo podobały. To się nazywa złudzenie. Czy słyszałaś już przedtem kiedy ten wyraz, panieneczko?

— Słyszałam — odpowiedziała Celinka — ale go nie rozumiałam. Nie chcę ja, Chochliku, takich skarbów, co są tylko złudzeniem. Chodźmy dalej, może co ładniejszego zobaczymy.

I dziewczynka strzepnęła rączki z resztek wilgoci i włożyła je do mufeczki.

~~~~~

Szli dalej lasem, Chochlik naprzód, jakby przewodnik, Celinka za nim. Drzewa szronem pokryte wyglądały bardzo ładnie, ale nasza dziewczynka nie miała już ochoty zrywać błyszczących, różnobarwnych bryłek.

A wtem nagle coś małego, okrągłego, spadło i potoczyło się po śnie-



gu. Celinka schyliła się i podniosła orzeszek.

— Patrz, patrz, Chochliku—wołała uradowana — co ja znalazłam! Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby orzeszki rosły na takich ogromnych drzewach i do tego w zimie.

— One tu wyrość nie mogły — powiedział Chochlik—bo to są wszystko drzewa sosnowe, a orzeszki rosną tylko na leszczynie.

— A to zkadże się wzięły? — pytała Celinka.

— Albo ja wiem? trzeba zobaczyć.

I nie wiele myśląc, Chochlik zaczął się wdrapywać na drzewo, z którego spadły orzeszki.

— Oho! — zawołał po chwili, spoglądając z wysoka na dziewczynkę, która stanęła pod drzewem i główkę podniosła tak wysoko, jak tylko mogła, żeby go z oczu nie stracić.—Oho! wiem już zkad się wzięły orzeszki; jest ich tu mnóstwo w dziupli drzewa, a wszystkie takie ładne, duże; niema ani jednego spróchniałego lub robaczywego.

— Ależ to skarb prawdziwy, Chochliku! — wołała Celinka, klaszcząc w rączki radośnie — a czy jabym nie mogła zabrać z sobą tych orzeszków? Już ja to wolę od błyszczących klejnotów, co się w rączkach rozplywają.

— A więc dobrze—rzekł Chochlik — skoro ci taki skarb wystarcza, panienczko, zaraz wydobędę orzeszki z dziupli, a ty przygotuj kieszonki. Nie wiem tylko, czy będziesz je mogła wszystkie pomieścić i zabrać.

— O, już ja sobie dam rady — mówiła dziewczynka—wyjmij tylko orzeszki, mój Chochliku; ja tu mam jeszcze chusteczkę, co się w kieszonki nie zmieści, to w chusteczkę zwiążemy i wszystko się jakoś zabierze. Tylko nie marudź, bo zimno w nóżki, jak się tak stoi na jednym miejscu.

— A to sobie pobiegaj tymczasem, panienczko, a ja będę wybierał orzeszki.

— Dobrze mówisz—rzekła Celinka, i zaczęła podskakiwać i biegać pomiędzy drzewami, patrząc czasem pod nóżki, a czasem podnosząc główkę do gó-

ry. Gdy tak raz spojrziała wysoko, spostrzegła, że na drzewie coś się poruszało. Wiatru nie było wcale, więc to nie mogła być gałązka.

Nasza dziewczynka była ciekawska wielka, więc przystanąła pod drzewem i zaczęła się przypatrywać uważnie, nie robiąc najmniejszego szelestu, bo zaraz jej przyszło na myśl, że to może było jakieś zwierzątko. I wnet spostrzegła w rzeczy samej parę oczek błyszczących, kosmatą główkę, uszki wystające i duży puszysty ogonek kasztanowaty.

Celinka poznała odrazu wiewióreczkę, bo nieraz latem widziała te ładne zwierzątka, skaczące po drzewach, ale nie wiedziała, że one i w zimie także żyją po lasach.

— Chochliku! Chochliku — wołała Celinka, podbiegając znów do drzewa, na którem siedział ciągle karzełek, wybierający orzeszki z dziupli—chodźno zobacz, jaka tu śliczna wiewióreczka siedzi na drzewie. Ja nie chcę jej łapać, bo wiem, że ona byłaby nieszczęśliwa w klatce, ale popatrz tylko, jak

ona zgrabnie skacze z gałązki na gałązkę, a tak zabawnie na mnie spogląda małutkimi oczkami; widać nie boi mnie się wcale. I czem ta biedna wiewióreczka żywi się teraz w zimie, kiedy nigdzie niema ani ziarenek, ani owoców? Toć ona musi być bardzo głodna, niebożatko.

— Ba! ma ona dobry rozumek — rzekł Chochlik, śmiejąc się — przewiduje też zawczasu, że zimą zabraknie żywności i zbiera sobie dobre zapasy w jesieni. Zwykle chowa po dziuplach drzew smaczne orzeszki i gryzie je potem spokojnie przez całą zimę, nie dbając o to, czy ziarenek zabraknie w polu i w lesie.

— O, mój Chochliku! — zawołała z żywością Celinka — a toż te orzeszki, cośmy je w tem drzewie znaleźli, to pewnie...

— Zgadłaś panieneczko — rzekł Chochlik — te dobre orzeszki, to spiżarenka zimowa wiewióreczki, zapewne tej samej, co tam na drzewie skacze. Dlatego też orzeszki są wszystkie takie ładne, duże, zdrowe, bo prze-

mysłne zwierzątko umie je dobrze wybierać; nigdy nie schowa małego, spróchniałego, lub robaczywego orzeszka.

— To śpiżarenka wiewióreczki! — powtórzyła dziewczynka i nagle, jakby sobie coś przypomniała, zawołała cała zaperzona:

— Ależ, mój Chochliku, cóż ona teraz będzie jadła, jak my jej zabierzemy uzbierane zapasy?

— Będzie głodna — odpowiedział Chochlik krótko.

— Będzie głodna i zginie może z głodu biedaczka — mówiła Celinka żalonym głosem — i to my temu będziemy winni... Gdyby kto przyszedł do naszego domu i zabrał bez pozwolenia to, co mama w śpiżarni chowa na nasze obiady, to powiedzielibyśmy, że to niedobry rabuś, że nas okradł; a teraz i my toż samo robimy z tą biedną wiewióreczką.

— Chciałaś sama przecież tych orzeszków, panienczko — mówił Chochlik — powiedziałaś, że to skarb, a my idziemy po skarby do zaczarowanych krajów.

— Ale kiedy ten skarb do wiewióreczki należy, to są jej własne orzeszki, ona je dla siebie uzbierała, nie dla nas. Ja nie chcę nikomu skarbów wydzierać, Chochliku. Jabym nie mogła cieszyć się temi orzeszkami, bo ciąglebym o tem myślała, że wiewióreczka z mojej przyczyny bardzo głodna, a może i zginie z głodu. O, proszę ciebie, Chochliku, włóż zaraz te wszystkie orzeszki napowrót do tej samej kryjówki, ja ich nie wezmę, za nie nie wezmę.

— Dobrze ty mówisz, moja pani-nieczko — rzekł Chochlik, wkładając orzeszki do dziupli i zeskakując z drzewa tak zręcznie, jak wiewiórka — dobrze bardzo mówisz; skarby, które nam przychodzą z krzywdą cudzą, nie mogą przynieść szczęścia. Pamiętaj o tem, pani-nieczko, i w życiu późniejszym. A teraz chodźmy dalej, może znajdziemy inne skarby.

~~~~~

Poszli dalej, Chochlik naprzód, a Celinke za nim, oglądając się na wszy-

stkie strony, czy nie zobaczy znów jakich skarbów.

— Mój Chochliku—mówiła dziewczynka—ty, co mieszkasz w zaczarowanych krajach, opowiedz mi przynajmniej, jak wyglądają te skarby przesłiczne, co to są w bajkach i co to ich strzegą takie, jak ty, karzełki, w podziemnych pałacach wspaniałych.

— Dobrze — odpowiedział Chochlik — nim dojdziemy do zaczarowanych krajów, ja ci to opowiem i będziesz o nich wiedziała wszystko, jak gdybyś sama była w tych pałacach. Wyobraź sobie, panienczko, ogromny gmach kryształowy, a w nim wszędzie, gdzie okiem zajrzeć, na suficie, na ścianach, błyszczą cudne brylanty, rubiny, turkusy, szmaragdy, ametysty i topazy, tak wielkie, jak gruszki i jabłka. Na podłodze leżą bryły złote, tak ogromne, że najsilniejszy człowiek podnieśćby ich nie mógł, perły zsypane w stosy wysokie, jak pagórki, całe drzewa koralowe wyrastają z ziemi, a na nich porozwieszane są naszyjniki, kolczyki, bransoletki i pierścionków bez

liku. Taki blask bije od tego wszystkiego, że trzeba co chwila oczy zamykać, żeby nie oślepnąć.

— O, mój Chochliku — wołała Celinka zachwycona — jakżebym chciała te slichności obaczyć choć na chwilę.

— Na chwilę zobaczyć ich nie możesz, ale jeżeli mnie bardzo ładnie poprosisz i będziesz bardzo grzeczną...

— To co, Chochliku, to co? — wołała dziewczyna, składając rączki.

— To ci to wszystko daruję. Będziesz królową kryształowego pałacu i moją panią.

— Ach! Chochliku, co ty mówisz? czy to być może? — wołała Celinka w uniesieniu radości — chodźmy prędzej do tego cudnego pałacu, nie traćmy czasu.

— Ale muszę ci naprzód powiedzieć, panienczko — rzekł Chochlik z poważną miną — że chcąc być królową kryształowego pałacu, musisz mi dać pewną obietnicę. Inaczej nie wolno nikomu wejść do zaczarowanych krajów.

— O, ja ci wszystko obiecuję, co tylko zechcesz.

— To nie dosyć obiecać, trzeba dotrzymać.

— Bądź spokojny, Chochliku — ja zawsze dotrzymuję słowa, bo mama mówi, że obiecać i nie dotrzymać, to wszystko jedno co skłamać; a ja nigdy nie kłamię.

— A więc dobrze—mówił Chochlik — musisz mi obiecać, że gdy raz wejdziesz razem ze mną do kryształowego pałacu, nigdy już z niego nie wyjdiesz, tylko tam będziesz mieszkała. Niczego ci nie zabraknie, ja ci będę wiernie służył, przynosił najwyborniejsze przysmaczki, sukienki prześliczne i będziesz mogła stroić się w te wszystkie klejnoty, brać złota i drogich kamieni tyle, ile zechcesz.

— No, nie bardzo to przyjemnie siedzieć tak ciągle na jednym miejscu, choćby w kryształowym pałacu—mówiła Celinka, wzdychając zlekka—ale cóż robić, już ja się do tego przyzwyczaję, byle tylko tatka i mama tam do mnie przychodzili, i przyprowadzali z sobą braciszków, i ciocię, i babunię, i dziewczynki z sąsiedztwa, żebym mo-

gła się z niemi bawić wesoło i dawać im dużo złota i klejnotów.

— O, nie — rzekł Chochlik — tego właśnie nie wolno w zaczarowanych krajach. Musisz tam, panienczko, mieszkać sama jedna, i nikogo nie widywać, oprócz mnie i drugiego karzełka podobnego, co tam razem ze mną tych skarbów strzeże. Nie można komu innemu przestąpić progów kryształowego pałacu. Skarbów także nie będziesz miała prawa rozdawać, chociaż masz być ich panią, tylko brać je do własnego użytku.

— A toż piękna rzecz! — zawołała Celinka ze łzami w oczach — cóż ja będę robiła z temi skarbami sama jedna? na cóż mi się one przydadzą, jeśli nie będzie się można niemi z nikim podzielić? I kryształowy pałac, i najśliczniejsze skarby, nie zabawią mnie wcale, ani ucieszą, jeśli nie będę widziała nigdy tatki, mamy i wszystkich tych, których kocham. Nie chcę ja, Chochliku, twoich skarbów, nie chcę być królową kryształowego pałacu, jabym tam była bardzo nieszczęśliwa. Wra-

cajmy lepiej do domu, bo zaszliśmy już zadaleko i mama będzie niespokojna.

— Jeżeli tak — rzekł Chochlik — to niema co, wracajmy, panienczko; ja cię do domu odprowadzę.

— Niedobry ty jesteś, Chochliku — mówiła dziewczynka z nadąsaną minką — nagadałeś mi tyle o tych skarbach, prowadziłeś niby do zaczarowanych krajów, a to się wszystko na nic nie przydało.

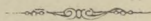
— Kto wie — rzekł Chochlik, uśmiechając się figlarnie — kto wie, czy to się na nic nie przyda. Nie znalazłaś wprawdzie, moja panienczko, żadnych skarbów takich, jakie ci się po główce roily, ale za to nabyłaś troszkę doświadczenia, a wierzaj mi, to jest także skarb, i skarb bardzo cenny.

— Cóż to za doświadczenie? ja o żadnem doświadczeniu nie wiem — mówiła Celinka, patrząc w oczy Chochlikowi.

— Możesz, panienczko, niejednę nauzkę wyciągnąć z tego, co ci się na dzisiejszej wędrowce wydarzyło: to się nazywa doświadczenie. Dzieci nie

zawsze zważają na to, co im starsi doradzają; ale jeżeli same przy jakimś rzeczywistym zdarzeniu o czymś się przekonają, pamiętają to zwykle daleko lepiej. Otóż i ty, panienczko, zbierając błyszczące, ładne, lecz nie trwałe bryłki lodu, przekonałaś się, że nie wszystko, co pięknie wygląda zdaleka, jest równie piękne zblizka, i że nie zawsze to, czego bardzo pragniemy, jest rzeczywiście dobre i pożyteczne. Wiesz już teraz, że nie warto się uganiać za złudnemi i przemijającemi skarbami. Potem, przy spiżarence wiewiórki, przekonałaś się znowu, że nie należy pożądać tego, czem możemy komuś innemu szkodę przynieść, bo wyrzuty sumienia nie dozwoliłyby nam takiego dobra spokojnie używać. Nakoniec, gdy ci opowiadał o skarbach kryształowego pałacu, poznałaś zaraz, że największe bogactwa i skarby nie przyniosłyby szczęścia nikomu, gdyby się niemi nie mógł podzielić z tymi, których kocha. Cóż, czy już teraz wiesz, co to jest doświadczenie, panienczko?

— Wiem, wiem — odpowiedziała Celinka — bardzo ci dziękuję, Chochliku. Nigdy nie zapomnę o dzisiejszej wędrówce i o twoich słowach, i nie żałuję, żeśmy się nie dostali do zaczarowanych krajów.





MAŁY ROZNOŚCIEŁ.

Mama była niezdrowa, położyła się wcześniej do łóżka i starsza siostrzyczka, Marynia, nalewała wieczorem herbatkę młodszym dzieciom, Bron-

kowi i Naci. A Bronek był bardzo grymaśny; przy mamie się trochę powstrzymywał, za to ze starszą siostrą pozwalał sobie na wszystko i wymysłem nie było końca.

— Niedobra herbata! niesłodka! — wołał Bronek, krzywiąc się i dąsając.

— Na, masz kawałek cukru — rzekła łagodnie Marynia, bo nie chciała, aby hałas doszedł do pokoju mamy.

— Bułeczka niedobra, mało maśła! — mówił znów krzykliwie mały grymaśnik—i śmietanki za mało w herbatce, i kożuszka nie dałaś mi, Maryniu, ani odrobinki. Takie wszystko brzydkie, fe! Nie chcę, nie będę pił, nie będę jadł tego.

— Widać, żeś nie głodny, braciszku—powiedziała spokojnie Marynia—skoro ci nie smakuje dobra herbatka i dobra bułeczka.

— Niedobre! brzydkie! fe, fe!—wykrzykiwał coraz głośniej chłopczyzna.

— Wstydz się, Bronku — odezwała się Nacia, daleko rozsądniejsza od braciszka, chociaż była młodsza.

— Wszystko takie dobre i smaczne,

jak zawsze, a ty tylko tak grymasisz, żeby Maryni dokuczyć.

Bronek zabierał się coś niegrzecznego powiedzieć małej siostrzyczce, a wtem odezwał się dzwonek u drzwi wchodowych, służąca otworzyła, i cienki, trochę zachrypnięty głosik zawołał za drzwiami:

— Kuryer Codzienny!

Marynia wybiegła do przedpokoju i dzieci usłyszały, jak mówiła:

— Chodźno tu, chłopczyku; musiałeś bardzo uziębnać, taka śłota na dworze i taki wiatr zimny. Ogrzej się troszkę, ja ci dam ciepłej herbaty i bułeczki z masłem. Czy chcesz?

— O, proszę, tak mi się chce jeść! Niech Bóg płaci paniusi — odpowiedział mały roznosiciel, tym samym głosem ochrypłym od zimna.

I powróciła Marynia do jadalnego pokoju, a za nią wszedł chłopak i stanął nieśmiało przy progu. Uboga jego odzież cała była przemokła i przypruszone śniegiem.

— Usiądź sobie, mój chłopczyku, wypij herbatkę i zjedz bułkę — rzekła

dobra Marynia; przysunęła mu krzesło i podała herbatę i bułeczkę Bronka.

A nasz Bronek zapomniał zupełnie o grymasach i wpatrzył się ciekawie w małego roznosiciela. Biedny chłopczyk taki był uradowany, aż mu oczy zabłyśły, gdy podniósł do ust ciepłą, smaczną herbatkę i dobrą bułeczkę z masłem! Wypił wszystko do ostatniej kropelki, schylił się i podniósł parę okruszyn bułki z podłogi, potem postawił filiżankę na stole, pocałował Marynię w rękę i raz jeszcze powiedział:

— Niech Bóg płaci paniusi.

Chwycił pod pachę swoje Kuryery, wcisnął czapeczkę na oczy i wybiegł znów na zimno i słotę. Marynia nalala drugą filiżankę herbaty i postawiła przed Bronkiem, nasmarowała bułeczkę masłem i położyła przy nim, ale nie powiedziała ani słowa. Dzieci także milczały.

Bronek wypił grzecznie i spokojnie swoją herbatę, zjadł bułeczkę, a potem przybiegł do Maryni, chwycił ją

za rękę i pocałował, a gdy ona go uściskała, powiedział:

— Przepraszam ciebie, siostrzyczko; ja byłem taki niegrzeczny. Herbata bardzo dobra i bułeczka także... a i tamta była doskonała. Ja już nigdy nie będę tak grymasił.

— A gdyby ci przyszła ochota do grymasów, braciszku — rzekła Marynia — gdyby ci się zdawało kiedy, że ci dają niedobre jedzenie, przypomnij sobie, ile to jest na świecie biedniejszych dzieci od ciebie.

~~~~~

### PTASZEK W ZIMIE.

Ptaszyno biedna, zgłodniała,  
Coś tu z nami pozostała,  
Gdy cała skrzydlata rzesza  
Do ciepłych krajów pospiesza.  
Pustki w polu i w ogrodzie,  
A ty się błąkasz o głodzie.  
Ale i o was, ptaszęta,  
Opatrzność zawsze pamięta.  
Masz tu okruszynę chleba,  
Tobie niewiele potrzeba.  
A nie bądź, ptaszku, w obawie,  
Sidelek ja nie zastawię.

Bo mi mateczka mówiła,  
Że ptaszkom swoboda miła,  
Nigdy też krzywdy nie czynię  
Nawet , drobnej ptaszynie.

## W MIEŚCIE I NA WSI.

Mały Adaś urodził się i wychował w Warszawie; miał już czwarty rok, gdy po raz pierwszy w życiu dostał się na wieś, do cioci.

Wszystko go tam niezmiernie bawiło i zajmowało, a wszystkiemu się dziwił. W owocowym ogrodzie nie mógł się nacieszyć widokiem pięknych jabłuszek i gruszcerek, które jak grad spadały na ziemię, gdy ogrodnik potrząsał drzewem.

Mama tymczasem została w pokoju, a gdy Adaś powrócił ze swojej wycieczki, zaczął jej opowiadać to wszystko, co widział.

— Ach, mamusiu—mówił—jaką ja dziwną rzecz widziałem. Czy wie mama, że tu na wsi jabłuszka i gruszczerki na drzewach wyrastają.

— Alboż gruszczerki mogą inaczej

wyrastać? — zapytał ze zdziwieniem  
Ignas, cioteczny braciszek Adasia.

— Jakże one rosną u was w War-  
szawie?

— U nas w Warszawie — odrzekł  
Adaś — wszystkie owoce rosną w skle-  
pach, albo na straganach, w dużych  
koszach, zupełnie nie tak, jak u was.

~~~~~

Ignas mieszkał znów zawsze na wsi
i także dopiero czwarty rok mając
wyjechał pierwszy raz do miasta, gdzie
bawił z rodzicami parę tygodni.

Dziwiło go to bardzo, że służąca
kupowała codziennie mleko, bułki, cu-
kier i wszystko, czego tylko było po-
trzeba. W domu, na wsi, nigdy tego
nie widział, bo tam w spiżarni i w sza-
fie było zawsze poddostatkiem wszel-
kich podobnych zapasów. Matka mu
wytłómaczyła, że w mieście tak zwy-
kle każdą rzecz się kupuje, a służąca
dodała:

— Tu w sklepach wszystkiego za
pieniądze dostanie; to wielka wygoda.

Raz przed wieczorem Ignas poszedł

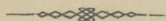
z mamą do publicznego ogrodu i bardzo go ta przechadzka ubawiła. Ale o zachodzie słońca mama powiedziała, że czas powracać do domu. Chłopcykowi chciało się zostać troszkę dłużej.

— Nie można—mówiła mama—wiesz, że już późno; słońce zachodzi i zaraz się ściemni.

— O, jaka szkoda! — rzekł Ignas, a po chwili zawołał:

— To niech mamusia kupi troszeczkę słońca, żeby jeszcze nie zachodziło. Toż tu w mieście wszystkiego za pieniądze dostanie.

Śmiejecie się z tych chłopczyków. Bo też małym dzieciom nikt się nie dziwi, gdy powiedzą coś niemądrego, nikt im tego za złe nie bierze, każdy się z nich tylko uśmieje. Ale gdy dzieci już troszkę podрастаć zaczynają, powinny wiedzieć, że nie należy rozprawić o tem, czego się dobrze nie rozumie, bo łatwo powiedzieć jakąś niedorzeczność, paplać bez zastanowienia.





PIESEK ANTOSI.

~~~~~

Antosia miała małego pieska, o którym sama zawsze pamiętała. Dawała mu jeść, na noc kładła mu sienniczek w kąciku w przedpokoju i brała go z sobą na przechadzkę.

Azorek, tak się nazywał ten piesek, bardzo był przywiązany do swojej małej pani i zdawało się nieraz, że ją rozumiał, bo gdy Antosia była wesoła, on także podskakiwał, kręcił ogonkiem i widać było w nim wielką radość. Gdy zaś dziewczynka się nadaśała, co na nieszczęście naszej Antosi dość często się przytrafiało, piesek patrzył na nią tak miłosiernie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Cóż to się panienczce stało?

Dnia pewnego Antosia była niegrzeczna, bardzo nawet niegrzeczna; przykro nam to opowiadać naszym kochanym czytelnikom, ale prawda przedewszystkiem.

Dziewczynka nie usłuchała nauczycielki, a potem przeprosić jej nie chciała, a gdy cierpliwa panna Ludwika, nauczycielka, nakoniec się rozgniewała troszkę, Antosia powiedziała coś tak brzydkiego, że już tego w żaden sposób wydrukować nie możemy w książeczce, którą tyle dzieci czytać będzie, bo nam wstyd za Antosię.

Azorek był przez cały czas w po-

koju, leżał cichuteńko na dywaniku i nie spuszczał z oka swojej panienki! Panna Ludwika odeszła, zapowiadając Antosi, że jeśli nie będzie grzeczna i nie przeprosi jej zaraz, to nie pójdzie wieczorem do cioci, gdzie miało być na herbacie kilkoro dzieci w jej wieku i gdzie zawsze wybornie się bawiła.

Ale Antosia, zamiast usłuchać, zaczęła się mazać i płakać na głos. Nikt na to nie zważał, oprócz Azorka. Piesek zerwał się z dywanika, przybiegł do Antosi i zaczął się łąsić przy niej wspinając się przednimi łapkami i zagładając jej w oczki.

Dziewczynka odtrąciła go i odwróciła się od niego, bo nie miała żadnej ochoty do zabawy. Azorek powstał chwilkę, smutnie uszki opuścił, potem nagle wybiegł i pędem poleciał do pokoju panny Ludwiki. Wpadł tam i wskoczył zaraz na kanapkę, na której siedziała nauczycielka z książką w ręku, a gdy nie zważała na niego, zaczął ją delikatnie ciągnąć za rękaw.



Odwróciła się panna Ludwika i pogłaskała psinę, którą wszyscy w domu bardzo lubili. Azorek wtenczas zeskokczył znowu na ziemię i kręcił ogonkiem, piszczał, jak to pieski umieją, kiedy chcą coś niby powiedzieć. Odbiegał do drzwi i znowu powracał, aż wreszcie panna Ludwika go zrozumiała i poszła za nim.

Piesek uradowany biegł znów prosto do pokoju, gdzie siedziała Antosia nadąsana i oglądał się co chwila, czy nauczycielka idzie za nim. Gdy weszła na próg panna Ludwika, pociągnął ją za suknię i przyprowadził do Antosi. Sam zaś zaczął znów piszczeć, podskakiwać, kręcić ogonkiem, patrząc to na jedną, to na drugą, z błagalną minką.

Rozśmiała się panna Ludwika, a Antosia przestała płakać i także przez łzy się uśmiechnęła.

— Azorek wstawia się za swoją pannenką — rzekła nauczycielka, mając wielką ochotę przebaczyć dziewczynce, byle tylko okazała żal za swoją winę. — Ale nie wiem, Azorku, czy

twoja panienska temu rada, żeś mię przyprowadził, bo mnie przeprosić trzeba, a ona może woli się dąsać.

Azorek zaczął skomleć głośniej, wskoczył na kolana Antosi i patrzył jej w oczy tak zupełnie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Cóż to za nierozsądna panienczka; i sama się martwi i mnie zmartwienie sprawia, a tak łatwo na to poradzić.

I pochwycił znowu ząbkami suknię panny Ludwiki, siedząc ciągle na kolanach Antosi. Obie nie mogły się od śmiechu powstrzymać, Antosia zaczęła przeproszać nauczycielkę, która się już zupełnie przestała gniewać. Piesek, jak tylko to zobaczył i zrozumiał, że wszystko jest już dobrze, zaraz powrócił na swoje zwykłe miejsce na dywaniku i spokojnie spać się położył.

Odtąd nasza Antosia, ile razy miała ochotę dąsać się i grymasić, zaraz sobie przypomniła Azorka i uśmiechała się, patrząc na roztropną psinę, a ochota do dąsów i grymasów ją odchodziła.

~~~~~

Dwie dobre dziewczynki.

Opowiemy wam, dzieci kochane, o dwóch dziewczynkach, które żyją wśród nas. Jedna z nich jest bogata, druga uboga; każda spełniła według możliwości swojej piękny, szlachetny czyn miłosierdzia, zasłużyła na wasze uwielbienie. To, co czytać będziecie, wydarzyło się naprawdę i to niezbyt dawno, nie jest to wcale jakaś zmyśloną powiastka.

Rok 1880 ciężki był bardzo dla ubogich ludzi. W wielu okolicach kraju naszego był głód, bo zboże nie urodziło, albo grad je wybił, albo powódź zabrała. Ludzie cierpieli straszną nędzę po wsiach i po miastach. Wszędzie też osoby miłosierne starały się temu zaradzić, zbierano rozmaitemi sposobami składki i jałmużny.

W Lublinie dobroczynne panie urządziły zabawę wspaniałą z koncertem, loteryą i bazarem, gdzie sprzedawano różne przedmioty, a pieniądze zebrane

za bilety wejścia, bilety na loteryą i za sprzedawane cacka, przeznaczone były dla ubogich.

Jedna bogata pani, mieszkająca w Lublinie, ofiarowała na loteryą bardzo piękny i kosztowny medalion złoty, kamieniami drogiemi wysadzany. Możecie sobie wyobrazić, z jakim upragnieniem każdy, kto kupował bilet na loteryą, myślał o wygraniu tego prześlicznego fantu. Cały Lublin wyglądał niecierpliwie rozegrania loteryi, żeby się dowiedzieć, komu ten szczęśliwy los się dostanie.

A była tam na tej loteryi młodziutka panienczka, drżącą rączką wyciągała bilety i powtarzała w myśli:

— A nuż to ja ten piękny medalion wygram!

I postanowiła sobie, że go zaraz pośle swojej mamie, która w tym czasie bawiła dla zdrowia zagranicą. Miała kilka biletów, rozwija je, i o radości! Jeden z nich w rzeczy samej wygrywa ten skarb pożądany, medalion owej bogatej pani. I wnet podają

jej fant wygrany, już go ma w ręku, już jest jej własnością.

Pomyślcie tylko wy, wszystkie małe dziewczątka, które to czytacie, gdybyście były na jej miejscu, z jakąż rozkoszą ustroiłybyście się w ten klejnot! A przecież oto, co ona uczyniła.

Spojrzała na medalion, w oku jej zakręciła się łezka, bo przypomniała sobie, że był on przeznaczony dla ubogich, dla tych, którzy nie pragną ozdób, ani klejnotów, którym braknie powszedniego chleba i pierwszych potrzeb do życia. I bez namysłu, bez żalu, dobra panienczka podała kosztowny medalion jednej z pań, gospodyni tej zabawy, mówiąc:

— Proszę to oddać ubogim.

I znowu piękny fant poszedł na loteryą; po raz drugi sprzedawano na niego bilety, i dużo zebrano pieniędzy dla ubogich i głodnych.

Dobra panienka, powróciwszy do domu, napisała do swojej mamy. Nie przesyłała jej kosztownego daru, tylko z prostotą opowiedziała całe zdarzenie w tych słowach:

„Wygrano na loteryi ów sławny medalion! wygrałam go — ja, ale zaraz znów oddałam dla ubogich.“

Jakże ten liścik ucieszyć musiał matkę tej dziewczynki. Gdyby córeczka była jej przysłała w darze wygrany na loteryi medalion, byłoby jej to zapewne także sprawiło przyjemność, ale cnotliwy czyn dziecięcia droższym jest dla serca matki od najkosztowniejszych klejnotów.

~~~~~

Posłuchajcież teraz, co zrobiła inna dziewczynka tegoż samego wieku. Mieszka ona w Warszawie, nie jest wcale bogata, ale słyszała nieraz o ludziach daleko uboższych od siebie. Raz na przykład mówiono przy niej o zakładzie dla nieuleczalnych kalek; ktoś powiedział, że zarząd tego zakładu przyjmuje różne dary od osób dobroczynnych, szczególnie cukier, kawę, herbatę, gdyż smaczniejszy posiłek, a zwłaszcza napój ciepły, wzmacniający, osłodzony, wielką ulgę przynosi tym nieszczęśliwym.

Oni biedni leżeć muszą bez ruchu, bez żadnej nadziei wyzdrowienia, często przytem dotkliwe znoszą cierpienia. Dobra dziewczynka, myśląc o tem, wielką dla nich litość czuła. Ale rodzice jej nie są bogaci, muszą pamiętać o potrzebach swoich dzieci, nie mogła więc żądać od nich, ani pieniędzy, ani zapasów cukru dla biednych kalek.

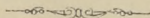
Inaczej więc sobie poradziła. Miłosierna ta dziewczynka prosiła matki, żeby nie wrzucała jej cukru do herbaty, ale dawała jej ten cukier do ręki. I przez kilka tygodni piła herbatę bez cukru, a połykając gorzki napój, myślała sobie, że ona ma przecież zdrowe nóżki, może więc biegać, bawić się, nic ją nie boli, tak jej łatwo obejść się nawet zupełnie bez herbaty.

Gdy tym sposobem uzbierała sporą paczkę cukru, zniosła go do jednej z pań, opiekunek schronienia nieuleczalnych kalek, prosząc, ażeby im ten dar doręczyła.

Nieprawdaż, dzieci, że obie te dziew-

czynki serdecznie kochacie i radebyście poznać je, choćby tylko z imienia. Ale my opowiedzieliśmy wam o nich dla nauki i przykładu, żebyście się starały je naśladować. Imion tych dobrotczyńnych dziewczątek tu nie wypisujemy; one same pewnie nie chcą tego, aby o nich mówiono i chwalono ich uczynki. Zadowolenie własnego sumienia i pewność, że przyniosły ulgę cierpiącym, jest dla nich dostateczną nagrodą, gdyż pamiętają na słowa Zbawiciela:

„Gdy czynisz jałmużnę, niech nie wie lewica twoja, co czyni prawica“.







## JANINKA NAD MORZEM.

Janinka pojechała z rodzicami bardzo daleko, aż nad morze; mama i Janinka kąpały się w morzu, a takie kąpiele są zdrowe niezmiernie. Dziew-

czynka pierwszy raz w życiu widziała taką ogromną wodę i lubiła stać na brzegu i patrzeć, jak w oddaleniu błękitne niebo stykało się z błękitnawem morzem. Tu znów bliżej fale ogromne uderzały o wysokie wybrzeże z szumem i loskotem.

Janka była bardzo roztropną dziewczynką, i zastanawiała się nad wszystkim, co widziała. Raz więc zapytała mamy, jakim to sposobem to niezmierne mnóstwo wody utrzymuje się w morzu i nigdy się z niego na ląd nie rozleje?

*Mama.* A czy nie rozumiesz, moja Janinko, dla czego zupa z talerza nie wylewa się na obrus?

*Janinka.* O, mameczko, toż każdy rozumie. Bo talerz jest głęboki, a zupa się w nim trzyma, jakby w jamce wydrążonej.

*Mama.* Widzisz, tak samo i morze, dla tego w swoim łożysku się trzyma, że ono jest głęboko wydrążone w ziemi, jak ogromna jama.

*Janinka.* Jakto, mamusiu, morze, to jest taka jakaś straszliwa jama?

*Mama.* A cóż ma być, moje dziecko? Czy widziałas kiedy, jak deszczyk spadnie, co to się dzieje na ziemi, w ogrodzie lub na podwórzu? Woda ścieka zaraz z wyższych miejsc na niższe, spływa w rozmaite dołki i jamki, i tam się robią jeziora. Jeżeli w ogrodzie jest sadzawka, to woda deszczowa spływa zwykle do niej różnemi strumyczkami.

*Janinka.* Aha! więc morze to jest taka ogromna, ogromna sadzawka, wydrążona w ziemi. Teraz już wiem.

*Mama.* Do sadzawki, do stawu, woda deszczowa ścieka małutkimi strumyczkami, a do morza też samą wodę niosą wielkie rzeki, takie, jak Wisła, i większe jeszcze. Cała ziemia ma powierzchnię nierówną, pokrytą górami i dolinami. Rzeki wszystkie spływają zawsze z wyższych miejsc w niższe, a morza są to najgłębsze wydrążenia, obszerne jamy, gdzie się najwięcej wody uzbierało od czasów niezmiernie dawnych.

*Janinka.* Tylko nie z deszczu.

*Mama.* A z czegoż? Woda na całej ziemi, w morzach, rzekach, jeziorach, zawsze tylko z deszczu pochodzi. Woda na powietrzu zawsze wysycha, choćby jej było nie wiem jak wiele. Kiedyś musiałyby wyschnąć nawet i w morzu, gdyby znów taż sama nie powracała deszczem. Toż wiesz, jak to zwykle w czasie posuchy, i w sadzawce, i w rzekach, woda opada, bo jej pozostaje daleko mniej. Potem znowu przybywa i czasem aż z brzegów wylewa. To się dzieje wtenczas, gdy większe deszcze padać zaczną. Rzeki niosą tę wodę do morza, a tym sposobem i ono nigdy nie wysycha. Po stworzeniu świata, jak wiemy z Pisma Świętego, Pan Bóg oddzielił wody od łądów. To znaczy, że na ziemi porobiły się góry i doliny, a woda w te doliny pościekała i ztąd powstały ogromne morza. Gdyby ziemia była gładziuteńka, nie miała żadnych gór, toby woda rozlała się wszędzie i nie byłoby nigdzie suchego miejsca.

*Janinka.* O, mamusiu, a gdzieżbyśmy wtedy mieszkali?

*Mama.* To też Opatrzność o tem pomyślała, jak widzisz.

~~~~~

SÓL I CUKIER.

Adaś. Ach, mamó, jaka ta Maniusia zabawna; na sól mówi, że to słony cukier, a na cukier, że to słona sól. Ja się zacząłem z niej śmiać, a ona na to: Alboż to nie wszystko jedno? przecież i sól biała, i cukier biały; i sól twarda, i cukier twardy; i sól można utłuc na proszek i cukier także.

Mama. Widzę, że malutka Maniusia umie się już zastanawiać i wybornie wyliczyła wszystkie podobieństwa soli i cukru. Ty, jako starszy i rozsądniejszy, spróbuj wyliczyć różnice. A najpierw wytłómacz, dla czego ci się to wydaje tak zabawne, gdy Maniusia mówi, że sól i cukier to wszystko jedno.

Adaś. Ależ, moja mamó, bo to zupełnie co innego; cukier jest taki słodki, a sól...

Mama. A sól słona, zapewne to

chciałeś powiedzieć. Ależ właśnie toż samo mówiła Manusia i śmiałeś się z tego. Zastanówże się najpierw, z kąd się bierze sól, a z kąd cukier.

Adaś. O, ja to wiem; sól wykopują z ziemi, a cukier robią w fabryce.

Mama. A widzisz, jaka to ogromna różnica. Sól jest minerałem, jak kamień, jak glina, człowiek znajduje ją w ziemi, w wielkich bryłach i zabiera na swój pożytek. Czasem także wydobywają sól z wody, gdzie jest rozpuszczona, czy to w morzu, czy w słonych źródłach, tryskających z ziemi.

Adaś. A jakimże to sposobem można taką sól rozpuszczoną wydobyć z wody słonej?

Mama. Jak pojedziemy kiedy do Ciechocinka, sam to obaczysz, bo tam są właśnie słone źródła. Gdybyśmy dużo soli rozpuścili w szklance wody, potem tę wodę słoną postawili na ogniu, czy wiesz, coby się zrobiło? Woda wygotowałaby się wszystka; mnóstwo pary unosiłoby się ciągle

z garnuszka, a ta para, ty wiesz przecież, co to jest takiego.

Adaś. To woda, co tak w powietrzu ulata drobnienteńkiemi kropelkami.

Mama. A więc woda uleciałaby w powietrze; ale sól nie może tak łatwo wznieść się w górę i opadłaby na dno garnuszka. Tak samo można i większe ilości wody w kotłach wygotowywać. Zwykle jednak nie zadają sobie ludzie tyle kłopotu, tylko urządzają do tego tęźnie, takie budynki bez ścian, gałazkami tarniny napełnione. Woda słona, nalana na tęźnie, przecieka przez nie powoli i tym sposobem dużo pary uchodzi w powietrze, a osad solny pozostaje. Wiesz więc, że czy tak, czy owak, soli nikt nie robi, tylko ją ludzie znajdują gotową w przyrodzie. Teraz rozumiesz już, jaka jest najważniejsza różnica pomiędzy solą i cukrem: sól znajduje się gotowa w przyrodzie, a cukier jest wytworem przemysłu ludzkiego.

Adaś. A wujaszek mówił wczoraj, że cukier znajduje się w bardzo wie-

lu owocach, w melonach, w różnych jarzynach.

Mama. Niezawodnie; wiesz przecież, że Bóg jeden może tworzyć z niczego, człowiek tego nie potrafi, zawsze musi znaleźć materyał w przyrodzie do swojej roboty. W roślinach cukier zmieszany jest z tylu innymi dodatkami, że wielkiej potrzeba umiejętności i pracy, aby go wydobyć i oczyścić. Gdybyś wcisnął do herbaty trochę burakowego soku, z którego się wyrabia cukier, pewnieby ci nie smakowała. Bryłkę soli wprost z kopalni można dodać do potraw. W cieplejszych krajach robią cukier z trzciny cukrowej, a u nas z buraków, bo ta trzcina u nas nie rośnie. Otóż te rośliny są darem przyrody, a cukier z nich otrzymany wyrobem przemysłu. A teraz wymienimy drugą ważną różnicę pomiędzy cukrem i solą: sól jest minerałem, cukier pochodzi z roślin. Czy wiesz, co to są królestwa przyrody?

Adaś. O, już mama nieraz o tem wspominała. Są trzy królestwa przy-

rody: królestwo minerałów, królestwo roślin i królestwo zwierząt.

Mama. Bardzo dobrze; teraz już potrafisz wytłómaczyć lepiej od Maniusi, czem się różni cukier od soli.





ZAROZUMIAŁY ADAŚ.

— Ignasiu, Maryniu! słuchajcie, zagram wam prześliczną sonatę Bum-bum! A teraz będzie mazurek. Bum-bum-bum! A teraz polka. Bum-bum-bum!

Tak wołał Adaś do braciszka i siostrzyczki, uderzając z całej siły w klawisze fortepianu. Adaś grać jeszcze nie umiał, dopiero zaczynał się uczyć, te też jego bum-bum-bum wcale nie było podobne, ani do sonaty, ani do mazurka, ani do polki. Ignas i Marynia, chociaż młodszy od niego, poznali się na tem dobrze i śmieli się, wołając:

— Brzydko grasz, Adasiu, brzydko, przestań, bo aż uszy bolą tego słuchać.

— Co, co—ofuknął się Adaś—nieładnie gram? Albo wy się na tem znacie? To prześliczna sonata, pyszny mazurek; ale dla was nie warto grać.

I mówiąc to, Adaś uderzył obiema rękami o klawisze, aż struna pękła i zabręczała przeciągle.

A toż mi dopiero śliczne granie! cha cha cha! — i Marynia śmiała się do rozpuku i Ignas także.

Gdyby Adaś miał choć troszeczkę rozsądku, byłby się śmiał także razem z nimi, ale on wołał się złościć i krzyzczeć:

— Nie śmiejcie się! Nie pozwalam wam śmiać się ze mnie! Ja starszy jestem od was, wy się nie znacie na graniu!

Taka ztąd głośna sprzeczka powstała, że mama usłyszała z drugiego pokoju i przyszła się dowiedzieć, co to znaczy. Ignas i Marynia opowiedzieli jej wszystko, Adaś stał zadąsany; a potem powiedział:

— Ja wiem sam, że to nie było ładne granie, ale oni się na tem nie znają; oni młodsi, nie mają prawa śmiać się ze mnie.

— Wstydz się — rzekła mama — a toż właśnie dla tego, że jesteś starszy, powinienes być rozsądniejszy. Nikt od ludzi szacunku wymagać nie może, jeżeli na to nie zasługuje, a brzydko jest bardzo oszukiwać i kłamać.

— Alboż ja kłamię i oszukuję, mamó? — szepnął Adaś zawstydzony.

— Jeśli chcesz, ażeby braciszek i siostrzyczka wierzyli, że ty umiesz

grać, a sam wiesz dobrze, że nie umiesz, to cóż to będzie, czy nie kłamstwo?

Adaś spuścił główkę w milczeniu, bo poznał prawdę tych słów mamy.

URODZINY ZOSI.

Był to dzień urodzin Zosi, kończyła lat pięć. Dziewczynka leżała jeszcze w łóżeczku, gdy mama jej przyniosła wiązanie, śliczną książeczkę z obrazkami i nową lalkę, a ściskając ją czule, rzekła:

— Moja Zosia już duża dziewczynka, szósty roczek zaczyna. Pamiętaj, moje dziecko, że nie po to tylko żyjesz, ażebyś była coraz większa, ale powinnaś być także coraz lepsza i rozsądniejsza.

— O, mateczko — zawołała Zosia, zrywając się na łóżeczku i zarzucając obie rączki na szyję mamy — od dziś, będę już zawsze grzeczna, posłuszna, nie będę nigdy grymasiła, a mama kochana przez ten cały rok, i później, i zawsze, nie będzie potrzebowała strofować swojej córeczki.

— Daj Boże — rzekła mama i na tem się zakończyła rozmowa.

Minął rok cały i znowu nadeszły urodziny Zosi. Dziewczynka kończyła już teraz sześć lat. Tak samo, jak roku zeszłego, mama przyszła uściskać ją zrana, ale zamiast dawać jej przestrogi, przypomniała tylko, co to Zosia obiecywała przeszłego roku.

Westchnęła dziewczynka i spuściła oczki łez pełne, bo nieraz w ciągu tego długiego roku zdarzyło jej się być troszkę nieposłuszną, i upartą, i grymasną.

— Nie martw się zbyt, moje dziecko — rzekła mama — nikt nie może odrazu ze wszystkich wad swoich się poprawić i stać się doskonałym. Ja ci dam lepszą radę. Oto spróbuj, wezwawszy pomocy Bożej, przeżyć jeden tylko dzień dzisiejszy tak, ażebyś wieczorem nic sobie nie miała do wyrzucenia.

Usłuchała mamy Zosia, nie śmiała już obiecywać, że zawsze będzie grzeszna, ale starała się nic złego nie zrobić przez cały dzień; powtarzała sobie

w myśli, że do wieczora niedaleko a przez tak krótki czas można być przecież zupełnie grzeczną. O, jakże szczęśliwa była dziewczynka, gdy odmówiwszy pacierz wieczorny, rzuciła się w objęcia mamy, mówiąc:

— Mamo, ja dziś doprawdy przez cały dzień byłam zupełnie greczna.

— Moje dziecko — odpowiedziała mama — niech ci to będzie nauką na całe życie. Nie rozmyślaj nigdy za wiele o tem, co będzie kiedyś, za rok, za lat kilka, ale pamiętaj, abyś w każdej chwili dopełniła swoich powinności. Nigdy nie odkładaj na jutro, a gdy dzień jutrzejszy dzisiejszym się stanie, wówczas i o nim pomyślisz.

PTASZEK W LECIE.

Zielono dokoła,
Ptaszyna wesola
Wiosenkę radośnie już wita,
I woła na ludzi,
Do pracy ich budzi,
Wstawajcie! słoneczko już świta!

Bo w rano majowy,
Kto młody i zdrowy,
Z ptaszyną o świcie niech wstaje;
Mamy przykazanie,
Że noc jest na spanie,
A dzionek do pracy Bóg daje.



KAROLCIA.

Karolcia miała ciotkę starszuskę, która jej dawała mnóstwo kosztownych zabawek i cacek wszelkiego rodzaju. Nazbierało się tym sposobem kilkanaście pięknych lalek, a dla każdej stały całe pudła przepysznych strojów, oprócz tego wiele innych rzeczy:

gospodarstwa, kuchenki, ładne koszyczki i pudełeczka.

Mama nie pozwalała Maryni rozrzucać zabawek po całym domu, ale kazała je utrzymywać w porządku, a dziewczynce przykrzyło się ciągle to wszystko składać i chować. Więc najczęściej piękne te rzeczy leżały w szufladach, a ona ich wyjmować nie chciała. Ciocia prawie codziennie przynosiła nowy jakiś podarunek, ale Karolci nic już nie cieszyło, czasem nawet niezadowolona była z jakiegoś pięknego cacka, bo jej się właśnie czegoś innego zachciewało.

Ta ciocia nie miała dzieci, nie wiedziała, co jest dla nich pożyteczne, a co szkodliwe; mama prosiła jej nieraz, żeby tak nie psuła Maryni i nie przyzwyczajala jej do zbytków, ale ciocia starszka i chorowita nie chciała tego zrozumieć.

Dnia pewnego Karolcia przechodziła koło mieszkania stróża i obaczyła przez drzwi otwarte dwie małe dziewczynki, jego córeczki; siedziały one na podłodze i bawiły się jakimiś brudnymi

szmatkami. Starsza próbowała uwinąć z nich coś podobnego do lalki, a młodsza cisnęła w rączynach prosty zwitek gałganków, związany sznureczkiem, i kiwała się, i śpiewała, jakby laleczkę kołysała.

Karolcia stanęła przy drzwiach i patrzyła ciekawie na biedne dziewczątka, a wtem nadeszła ich matka z miotłą w ręku, bo właśnie zamiatała podwórze. Zaczęła się śmiać i mówiła:

— Widzi panienka, jakie to śmieszne dziewczyny. Widziało to nieraz lalki u pańskich dzieci, co tu mieszkają w kamienicy, i ciągle im się śni o lalkach.

— A czemuż wy im prawdziwych laleczek nie kupicie, moja Maciejowo? — zapytała Karolcia.

— Jeszcze czego! — powiedziała stróżka—czy to ja mam na takie zbytki pieniądze?

Karolcia nie już nie mówiła, ale pobiegła do mamy, szepnęła jej coś do ucha, mama uśmiechnęła się i skinęła głową, dziewczynka otworzyła szufladę z zabawkami, wyjęła z niej dwie la-

lecunki i pędem zbiegła po wschodach do mieszkania stróżki.

Cóż to była za radość, gdy małe dziewczątka dowiedziały się, że te prześliczne lalki są dla nich. Ale i nasza Karolcia, patrząc na ich uciechę, taka była szczęśliwa, jak gdyby jej samej coś bardzo przyjemnego się przytrafiło. Gdy powróciła do mamy, cała była zarumieniona i oczki miała błyszczące.

— Mateczko—powiedziała—jakże to przyjemnie sprawić komuś uciechę. Ja oddam i resztę moich zabawek tym biednym dzieciom.

— Nie, moje dziecko - rzekła mama—to byłby wielki nierozsądek, one takich kosztownych cacek nie potrzebują, nie trzeba ich przyzwyczajać do tego. Lepiej wybierzemy coś z twoich sukienek i zanieziesz im jutro. Nie trzeba nigdy rozdawać, ani jałmużny, ani podarunków, bez zastanowienia, dla tego tylko, że to nam przyjemność robi. Wprzód zawsze pomyśleć należy, czy te nasze dary pożytek przyniosą bliźnim.

~~~~~



## ADAŚ I BUREK.

Przyjaźń z poczciwym pieskiem, stróżem domu, zawsze się przydać może małemu chłopcykowi. Adaś w najserdeczniejszych był stosunkach z Burekiem, zwykle mu z obiadu przynosił jakieś smaczne kosteczki, ile razy przechodził koło jego budki, zawsze go pogłaskał, przemawiał do niego pieszczotliwie, a psy umieją być wdzięcz-

ne, jeśli się z niemi kto po ludzku obchodzi. Ale za to złe obejście drażni je i zniechęca; nigdy też nie zapominają, gdy im kto przykrość wyrządzi, a przy sposobności i zemścić się umieją.

Starszy braciszek Adasia, Waluś, zupełnie inaczej postępował z Burkiem. Największą mu to uciechę sprawiało, gdy go mógł rozdrażnić i rozgniewać. Przechodząc koło jego budki, musiał mu koniecznie zęby pokazać i udawać warczenie, czego, jak wiadomo, psy bardzo nie lubią. Przynosił czasem kość, pokazywał ją Burkowi i umyślnie potem zarzucał na dach, z kądem biedne zwierzę dostać jej nie mogło; jednym słowem tysiączone psoty wyrządzał, byle tylko przykrość zrobić poczciwemu pieskowi.

Dnia pewnego obaj bracia bawili się na podwórzu i dosyć daleko odbiegli od domu, gdy obaczyli bydło powracające z pola. Brama nie była zamknięta i duża czarna krowa, o której dobrze wiedzieli, że ma zwyczaj bić rogami, wpadła na dziedziniec, rycząc

i wywijając ogonem. Złękli się chłopcy i zaczęli uciekać, ale krowa goniła tuż za nimi. Przebiegali właśnie koło budki Burka, a małemu Adasiowi przyszła wyborna myśl do głowy.

— Schowajmy się do budki! — zawołał i przedziuteńko wsunął się do tej bezpiecznej kryjówki. Waluś chciał za nim wskoczyć, ale w tejże chwili Burek, który patrzył obojętnie, jak Adaś wchodził do jego mieszkania, zawarczał groźnie i zagroził drogę Walusiowi.

Chłopiec przestraszony pobiegł dalej, na szczęście nic mu się złego nie stało, ale gdy wpadł do pokoju, taki był zdyszany i spocony, tak mu serce biło, że rodzice złękli się, aby nie zachorował. Ojciec wybiegł szukać Adasia, bo Waluś w pierwszej chwili nie mógł słowa przemówić i nie objaśnił, co się stało z braciszkiem. Zaczął więc ojciec z wielką trwogą nawoływać na dziedzińcu:

— Adasiu! Adasiu!

— Ja tu, ojczulku — odezwał się znany głosik.

— Gdzie tu?—pytał ojciec, bo trudno było z razu rozpoznać, z kąd ten głos wychodził.

— W budce u Burka! — zawołał znów malec. Ojciec nie mógł się powstrzymać od śmiechu, gdy zbliżył się do budki i obaczył w niej Adasia, siedzącego na miejscu Burka, który stał poważnie na straży przed swoim domkiem, dwoje szczeniąt bawiło się obok niego. Całe to towarzystwo bardzo było z siebie zadowolone.

Waluś skorzystał z tej nauczki, był odtąd daleko grzeczniejszy dla Burka, ale nie prędko podejrzliwe psisko dało się przekonać i uwierzyło, że chłopak się zmienił i zasługuje na zaufanie i przyjaźń.

## ANUSIA.

*Anusia.* Ach, mamó, niedobry Maciuś, brzydkie kocisko, ja go nie lubię, nie chcę na niego patrzeć. Porwał biednego wróbelka na dachu i schrupał go

w jednej chwili. Nigdy mu tego nie daruję.

*Mama.* Niesłusznie się na Maciusia gniewasz. On ma drapieżną naturę, żywi się drobnymi zwierzątkami i zginąłby z głodu, gdyby się litował nad myszkami i wróbelkami.

*Anusia.* O, mamó, ja się wcale na niego nie gniewam za łapanie myszek, bo one szkodę robią i wiem, że się ich trzeba pozbyć z domu. Ale pocóż ten kot niedobry łapie biedne ptaszeczki? one nic złego nie robią.

*Mama.* Trudno wymagać od Maciusia, ażeby miał rozum i wstrzymał się od schrupania ptaszka, jeżeli mu smakuje. Moja córeczka lubi także kurczątką i przepióreczki.

*Anusia.* O, mamó, jakże mama może swoją córeczkę porównywać do tego okropnego Maciusia. Ja jem kurczątką, bo je do stołu podają, a mogłabym się bez nich obejść. Maciuś ma tyle myszek, że chyba tylko przez łakomstwo łapie ptaszki. Doprawdy mógłby się wstrzymać.

*Mama.* Ja znam jedną dziewczynkę,



która wie dobrze, jak to brzydko napierać się ciastek i konfitur, kiedy jest troszkę chora i doktor dyetę zalecił. A jednak nie umie się powstrzymać, na głos płacze i napiera się, aż jej gwałtem przysmaki odbierać potrzeba. Ta dziewczynka powinna się czemś różnić od Maciusia, ona przecież nie jest zwierzątkiem.

*Anusia.* Już ja wiem, co to za dziewczynka, i wiem, że to brzydko się napierać, ale kiedy... doprawdy, mameczko, nie mogę się wstrzymać.

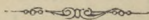
*Mama.* Jakto, wstrzymać się nie możesz? A więc chyba naprawdę niczem się nie różnisz od zwierzątka, które popędom swoim ulega, nie ma ani rozumu, ani woli. Ale ja temu nie wierzę. Bóg wszystkim ludziom daje rozum i wolę. Moja córeczka jest jeszcze mała, ale już wie i teraz, co jest dobre, a co złe, ma w duszy głos wewnętrzny, który ją o tem przestrzega; ma także i wolę; a gdy chce tego szczerze, potrafi robić dobrze, a wstrzymać się od złego. Chyba, że sama wolisz być podobną do zwierzątka, Anusiu.

*Anusia.* Moja mamó, jak też mama może tak mówić. Ja nie chcę być podobną do zwierzątka i zaraz pokażę, że umiem się wstrzymać. Oto dziś pozwoliła mi mama zjeść ten cukierek, bo już jestem zupełnie zdrowa, a ja go zaraz oddam Kaziowi i przez cały dzień nie będę jadła żadnych przysmaczków. Bo ja mam wolę, chcę i wstrzymam się.

*Mama.* To bardzo ładnie, moja Anusiu. Nie zaszkodziłby ci ten cukierek, ale nie także nie zaszkodzi, gdy się bez niego obejdiesz; przeciwnie, wielką korzyść odniesiesz, ucząc się panować nad swoją wolą.

*Anusia.* Ale teraz już mama nie powie, że ja jestem do zwierzątka podobna.

*Mama.* Nie, nie, moje dziecko, teraz jesteś dobrą, rozsądną dziewczynką i da Bóg urośniesz na dobrą i rozsądną kobietę. Pamiętaj tylko zawsze, że nie na to nam Pan Bóg dał rozum i wolę, abyśmy ulegali popędom naszym, jak to czynią zwierzęta.



## ROBÓTKA MARYNI.



Marynia wyszywała kolorowemi włóczkami poduszkę pod nogi, na wiązanie dla dziadunia Miała do tego ładny wzór, na którym były różne kwia-

tecзки z zielonemi listeczkami.

Ponieważ do imienin dziadunia niedaleko już było, więc dziewczynka dla pośpiechu chciała raz wieczorem dokończyć gałązki niezapominajek w swojej robótce. Bardzo starannie i uważnie, jak zwykle, dobierała kolory włóczek, ale jakież było jej zdziwienie nazajutrz z rana, gdy spostrzegła, że

kwiateczki niebieskie wyszyte były włóczką zieloną, a listeczki błękitną. Musiała wszystko pruć i przerabiać na nowo. Mama zastała ją przy tej robocie.

— Niechno mama patrzy—mówiła Marynia —jakiego kłopotu narobiłam sobie niechący. Muszę jaknajprędzej wypruć tę gałązkę niezapominajek, bo patrzeć na nią nie mogę, tak brzydko wygląda przy innych.

— Wygląda, jak fałsz przy prawdzie — odrzekła mama — możesz ztąd nawet, moje dziecko — dobrą nauczkę wyciągnąć. Wczoraj wieczorem nie spostrzegłaś wcale tej różnicy, dzisiaj dopiero widzisz, że barwy prawdziwe nie ulękły się światła dziennego, ale piękniej jeszcze wyglądają. Za to fałsz, gdy na jaw wyszedł, taki jest brzydki, że wstręt budzi. Nie możesz znieść widoku tych kwiateczków i chcesz je wypruć jaknajprędzej. Podobnie się dzieje z uczynkami naszymi. Jeśli są dobre, nie potrzebujemy ich ukrywać, ale ze złemi taić się musimy, a gdy się prawda wyda, kłamstwo obrzydli-

wie wygląda. Czy nie doświadczyłaś tego, Maryniu?

— O, mamó — rzekła dziewczynka—i sama nieraz to już myślałam, że ile razy mam ochotę się z czem ukrywać, jak tylko nie śmiem otwarcie wszystkiego powiedzieć przy tatce i mamie, to pewnie coś niedobrego robię.

— Nie zapominajże o tem, moje dziecko — mówiła mama — że nie się nigdy nie ukryje przed wzrokiem Boga, który w sercu twojem czyta i staraj się tak zawsze postępować, abys nigdy nie tać i ukrywać nie potrzebowała.

---

### *Józio i Helenka.*

Józio i Helenka siedzieli raz sami w bawialnym pokoju. Rodziców w domu nie było, a nauczycielka odeszła na chwilę, zostawiając im do zabawy papier i kolorowe ołówki. Dzieci bardzo lubiły rysować, szczególnie kolo-

rowemi ołówkami, ale, jak to się często dzieciom zdarza, zapominały łatwo o tem, że przy zabawie, tak samo, jak przy nauce, trzeba zawsze siedzieć porządnie, nie garbić się i nie wykrzywiać.

I teraz więc, ponieważ nikt na nie nie patrzył i nie przestrzegał, Helenka wykręciła się bokiem na krzesło, prawy łokieć oparła z całej siły na stole, a że krzesło było dla niej za niskie, więc podniosła prawą łopatkę do góry, lewe zaś ramię opuściła pod stół.

Józio, trochę starszy i większy od niej, przysunął sobie krzeselko bliźnioteczko do stolika i oparł się na blacie piersiami, przytem wyciągnął szyję i głowę tak schylił, że brodą dotykał prawie papieru. Tak byli oboje zajęci swoją robotą, że nie spostrzegli nawet, jak drzwi się zcicha otworzyły, a głos dobrze znany odezwał się od progu:

— Pięknie się dziatwa sprawia w nieobecności starszych, pięknie, nie ma co mówić.

Dzieci zerwały się szybko i poskoczyły powitać gościa. Był to doktor, serdeczny przyjaciel ojca; on ich nieraz troskliwie leczył w chorobie i dawał im różne dobre rady, ażeby chorób umieli unikać.

— A cóż to my złego robimy, proszę pana doktora—odezwał się Józio—siedzieliśmy spokojnie i rysowaliśmy sobie grzecznie.

— Ślicznieście siedzieli, widziałem—rzekł doktor — obróćno się, Helenko, bo mi się coś zdaje, że ci już garb wyrastać zaczyna pomiędzy łopatkami.

— Co, co — obruszyła się dziewczynka — jak też pan doktor może tak brzydtko żartować. Ja nie chcę być garbatą, nie mam wcale garbu, proszę patrzeć.

— Gdybyś nie chciała być garbatą, moja panienko — rzekł doktor — to nigdybyś nie siedziała tak, jak przed chwilą, z jednym łokciem na stole, a drugim pod stołem, z łopatką wykrzywioną, bo to jest właśnie najlepszy sposób zarobienia sobie na garb. Czy sądzisz, że ja żartuję? Wcale nie;

już nieraz byłem wzywany do takich nierozsądnych dzieci, którym naprawdę garb wyrastać zaczynał bez żadnego innego powodu, tylko dla tego, że nie słuchały napomnień, a ile razy nikt na nie nie patrzył, zaraz się wykręcały, siedząc przy stoliku, tak zupełnie, jak ty przed chwilą, moja Helenko. Potem gorzko tego żałowały, ale zwykle było już za późno i musiały przez całe życie pokutować za nieroztropność i nieposłuszeństwo. A cóż to za boleść dla rodziców patrzeć na te nieszczęśliwe dzieci, z własnej winy skazane na straszne kalectwo! Ja też zawsze daleko więcej nad rodzicami się litowałem, aniżeli nad temi nierozsądnemi dziećmi.

— Ale ja, proszę pana, nie będę miał garbu—odezwał się Józio—ja nigdy nie siedzę bokiem przy stole i teraz także pamiętam, że...—tu zająknął się i spuścił głowę, bo kłamać nie umiał, a przypomniał sobie właśnie, że i on nie siedział tak, jak powinien był siedzieć, gdyby na przestrogi starszych uważał.



— Ty, mój chłopcze—odrzekł doktor — możesz wprawdzie uniknąć garbu, ale za to, jeżeli będziesz przyciskał często piersi do twardego stołu, obawiam się bardzo, abyś nie zapadł na jaką piersiową chorobę. W młodym wieku całe ciało powinno wyrastać swobodnie, ale gdy przyciśniesz piersi do stołu, utrudniasz sobie oddychanie i zdrowie zaraz musi na tem ucierpieć. Oj! gdybyżto dzieci mogły wiedzieć, jak ciężko się żałuje w późniejszym wieku tej nieroztropności i lekkomyślności. Ja was tak kocham, moje dzieci, takbym rad was i waszych rodziców od wszelkich cierpień ochronić, od każdej choroby, bo niezawodnie większa część chorób pochodzi z naszej własnej nieostrożności. Ale cóż ja poradzę, cóż poradzą biedni rodzice? Niepodobna przecież, aby dzieci, które już chodzić i mówić umieją, ciągle stróżów miały przy sobie.

— O, panie doktorze—mówiła Helenka zawstydzona — my przecież nigdy nic złego nie robimy, choćby nas nikt nie pilnował.

-- O, nie—dodał Józio—my nigdy nie bez pozwolenia nie ruszamy, żadnej szkody nie robimy.

— Wiem, wiem, moje dzieci—rzekł doktor — że macie dobre serduszka i najlepsze chęci. Ale czyż nie wyrządzącie rodzicom waszym największej szkody, jeśli dobrowolnie narażacie się na chorobę i kalectwo? Oni was przecież więcej kochają od wszystkich, najkosztowniejszych swoich sprzętów.

— Ale bo my doprawdy nie wiedzieliśmy, że to może tak bardzo zaszkodzić — powiedział Józio.

— A teraz będziecie wiedzieli — odrzekł doktor—tylko nie zapominajcie o tem.

— O nie. nie zapomnimy — wołały dzieci i pewnie dotrzymały słowa.





## DOBRE DZIECI.

— Maryniu, pobaw się ze mną —  
wołała malutka Kasia do starszej sio-

strzyczki — dziś tacy wszyscy niegrzeczni, nikt nie chce się ze mną bawić.

— Ja nie mam czasu, moja Kasiu — odpowiedziała Marynia — mama dziś ma bardzo dużo roboty, muszę jej pomóc, a i w izbie uprzątnąć trzeba. Grzeczne dzieci nie powinny starszym przeszkadzać.

— To może ty, Ignasiu — pobawisz się ze mną — mówiła znów płaczącym głosem mała dziewczynka:

— Nie mogę, siostrzyczko, bo mam bardzo pilną i ważną robotę — powiedział starszy brat Ignas. Jutro święto, a ja dziś koniecznie muszę oczyścić te śruby, bo w poniedziałek rano trzeba je odnieść do warsztatu.

— Jacy wy wszyscy niegrzeczni — powtarzała Kasia zadęsa.

— Nie, siostrzyczko — powiedział Ignas — my nie jesteśmy niegrzeczni. Każdy powinien robić to, co do niego należy, nikomu nie wolno próżnować. Ty jeszcze jesteś malutka i możesz się cały dzień bawić, ale my, starsi, mamy obowiązki.

— Obowiązki? a co to jest takiego, obowiązki? — zapytała dziewczynka, zbliżając się do brata — mój Ignasiu, powiedz mi, co to znaczy i czemu to bawić się nie można, jeżeli kto ma obowiązki, a będę już grzeczna i nie będę wam dokuczała.

Ignas był bardzo dobry dla małej siostrzyczki; często w dni świąteczne, lub wieczorami, po ukończeniu swojej roboty, bawił się z nią, opowiadał jej różne bajeczki, a i Marynia także ją niezmiernie kochała. Kasia, jako najmłodsza, przez wszystkich w domu była troszkę pieszczona.

Rodzice tych dzieci nie byli bogaci. Ignas sposobił się do rzemiosła, ale pilnie się przytem uczył w szkole rzemieślniczej i niezmiernie lubił czytać. To też daleko był roztropniejszy od wielu chłopców swojego wieku, starszej nawet wychowanych.

— Chodź, siostrzyczko — rzekł do Kasi, sadzając ją na kolanach — ja ci zaraz wytłumaczę, co to znaczy obowiązek. Czy uważałaś, jak to nasza Marynia uprzęta izbę, żeby w niej było

porządnie. Najpierw zamiata i wyrzuca za drzwi wszystkie graty niepotrzebne i różne śmiecia, żeby nie zaważdały. Potem każdą rzecz ustawia na swoim miejscu i spojrzysz tylko: wszystkim, co tu jest poukładane na półkach, na stolikach, musi do czegoś pożytecznego służyć; garnki, rondelki, do gotowania; talerze, szklanki, łyżki, do obiadu; miotła do zamiatania; ściereczka do ścierania kurzu. Otóż widzisz, moja Kasiu, Pan Bóg chce, ażeby na całym świecie był wszędzie taki porządek, i ludziom dla tego rozkazał, aby pracowali dla siebie samych i dla swoich bliźnich. Tak samo, jak te garnuszki i inne sprzęty, mają swoje przeznaczenie, tak każdy człowiek ma swoje obowiązki; a gdyby ich nie chciał spełnić, lecz wołał bawić się przez cały dzień, to byłby niepotrzebny na świecie, bo Pan Bóg nie po to go stworzył. Cóż, czy rozumiesz teraz, siostrzyczko?

— Ale nie powiedziałaś jeszcze, Ignasiu, poco Pan Bóg stworzył ciebie, i mnie, i Marynię?—zapytała Kasia.

— Pan Bóg, siostrzyczko, dał nam

dobrych rodziców. Oni pracują, od-  
mawiają sobie wszystkiego, ażebyśmy  
mieli ciepłe sukienki, zdrowe jedzenie  
i wygodne mieszkanie. Teraz najważ-  
niejszym naszym obowiązkiem jest  
przynieść rodzicom pociechę i pomoc,  
uczyć się, ażebyśmy mogli jaknajprę-  
dziej sami pracować na siebie. Widzisz,  
Kasiu, mnie w warsztacie płacą już za  
robotę i za własne pieniądze kupiłem  
sobie buty. Za kilka lat będę już tyle  
zarabiał, że nietylko sobie sprawię ca-  
łe ubranie, ale i tobie kupię ładne  
trzewiczki.

— A ja—rzekła Marynia—nie jesz-  
cze sama nie zarabiam, ale matusia mó-  
wi, że od kiedy może się na mnie spu-  
ścić z całą domową robotą, z uprząta-  
niem, gotowaniem i myciem naczyń,  
daleko więcej ma czasu do roboty,  
i więcej uszyć może na maszynie.

— A ja, to chyba jestem niepotrze-  
bna, bo nic nie robię i nikomu nie po-  
magam—mówiła Kasia zawstydzona—  
może ty powiesz, Ignasiu, że mnie  
trzeba wyrzucić tak, jak Marynia nie-  
potrzebne graty wyrzuca.

— O, nie, siostruniu, ja tego nie powiem—rzekł Ignas śmiejąc się i całując czule dziewczynkę — ty nam wszystkim jesteś potrzebna, bo my ciebie bardzo kochamy. Jak urośniesz i nabierzesz rozumu, będziesz pewnie także pociechą i pomocą rodzicom. A teraz, czy wiesz, Kasienko, co jest obowiązkiem takiej małej, jak ty, dziewczynki?

— Co, co, mój Ignasiu, powiedz, ja nie chcę być niepotrzebnym gratem, ja chcę także spełnić swój obowiązek.

— Oto, siostrzyczko—mówił Ignas—nie przeszkadzaj nam, gdy mamy robotę, nie grymas, nie napieraj się, żebyśmy cię zabawiali, ale sama się baw grzecznie i spokojnie; rozstawiaj gliniane gospodarstwo, deseczki, którem ci wczoraj przyniósł od stolarza i czekaj cierpliwie, aż my swoje roboty ukończymy, a wtenczas opowiem ci śliczną bajeczkę, a Marynia zaśpiewa piosenkę.

— O dobrze, dobrze!—wołała dziewczynka, odbiegając do kącika, gdzie



miała poskładane różne zabawki—rób-  
cie wy sobie to, co do was należy,  
a ja tu będę siedziała cichuteńko i nic  
a nic wam nie dokuczę. Tylko nie za-  
pomnij, Ignasiu, o bajeczce, a ty, Ma-  
ryniu, o piosence.

— Dobrze, dobrze, siostrzyczko.

---

## INDYK I KWOCZKA.

Na dziedzińcu folwarcznym zgroma-  
dzone było rozmaite ptactwo domowe.  
Indyk nadęty i napuszony szeleścił  
rozpuszczonemi skrzydłami, a głos je-  
go wrzaskliwy co chwila się odzywał:

— Glu-glu-glu-glu! Paw wyskoczył  
na płot i rozłożywszy wspaniały swój  
ogon, wrzasnął przeraźliwie. Kaczki  
biegły jedna za drugą do pobliskiej sa-  
dzawki, gęsi podążały za niemi.

Piękna kwoczka czubata przecha-  
dzała się poważnie, zwoływała drobną  
swoją dziatwę i wyszukiwała dla niej  
ziarnka i robaczki. Wtem nagle za-  
trzymała się, podniosła czubatą głów-

kę do góry i niespokojnie zaczęła biegać dokoła i zwoływać rozpierzchnięte kurczątką:

— Uciekajcie, dziatki, uciekajcie! Jastrząb krąży nad nami, ten straszny, drapieżny jastrząb, co porywa małe kurczątką. Prędejj, prędejj, schowajmy się do kurnika, tam się nam nic złego nie stanie.

Kurczątką pobiegły za nią prędziutko i po chwili cała rodzina ukryła się bezpiecznie w ciemnym kącie kurnika.

— Cha-cha-cha-cha — zaśmiał się indyk, nadymając się jeszcze więcej — jakaż ta kwoczka zabawna, żeby się tak lada o co przestraszać. Już jabym się wstydził uciekać przed jakimś nędznym jastrzębiem.

— I ja także — odezwał się paw — ale ba! nie wszyscy mogą być tacy odważni, jak my.

— Bardzo wierzę — odezwał się kogut — wy obaj nie obawiacie się jastrzębia, bo wiecie dobrze, iż on się na żadnego z was nie rzuci. Kwoczka też nie lęka się o siebie, tylko o swoje kurczątką. Ciekawym, czybyście tacy byli

odważni, gdyby tu zamiast jastrzębia inny, groźniejszy nieprzyjaciel się pojawił.

— Ja tam się niczego nie obawiam — odburknął hardo indyk i znowu się nadał, a całe podgarle poczerwieniało mu ze złości.

— Ani ja także — dodał paw — każdy przyzna, że jestem najpiękniejszym i najodważniejszym ze wszystkich ptaków.

— A ja jeszcze jestem piękniejszy i odważniejszy — mruknął indyk.

Jastrząb tymczasem odleciał, gdy spostrzegł, że kwoczka ukryła swoją dziatwę, bo nie śmiał rzucić się na większe ptactwo; a po chwili i kurczątką wysypały się na dziedziniec pod wodzą roztropnej swej mateczki.

Aż tu nagle odezwało się w pobliżu zajadłe szczekanie i ogromne psisko, uwiązane zwykle na łańcuchu na innym podwórzu, wpadło na dziedziniec folwarczny i zaczęło uganiać, jak szalone, za ptactwem. Wielki był przestrah, kogut najpierwszy podleciał na wysoki płot, a ztamtąd na strzechę

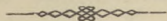
chlewka i tam dopiero odetchnął. Indyk, jak niepyszny, opuścił skrzydła i pędem uciekł do kurnika, paw wziął ogon pod siebie i pomknął za nim.

Kwoczka jednak nie straciła głowy, zaczęła głośno zwoływać kurczątką, ale nim się zbiegły, pies zagroził im drogę do kurnika i ciągle ujadał ze złością. Nie było więc już czasu uciekać, ale roztropna kwoczka rozłożyła skrzydła, przykryła nimi kurczątką, przysiadła na ziemi i sycząc wygrażała złośliwemu psu.

Niewiadomo, na czemby się to było skończyło, na szczęście nadbiegł stróż podwórzowy, schwycił psa za obrozę, a potem wziął go na łańcuch i odprowadził.

Ptactwo się uspokoiło, kogut zeskończył z dachu i zapiał radośnie, kwoczka podniosła się, i mrużąc coś do dziatwy, zaczęła się znów poważnie przechadzać. Indyk wyszedł z kurnika, zaraz się nadał i nastroszył, za nim wysunął się paw i także ogon rozłożył z dobrą miną, ale kogut, patrząc na nich, roześmiał się i powiedział:

— Oho! jak to pysznie teraz wyglą-  
dacie, gdy już minęło niebezpieczeń-  
stwo. Każdy z was mówił, że się nicze-  
go nie obawia, a zmykał, jak tchórz  
ostatni, gdy obaczył nieprzyjaciela. Ja  
przynajmniej się nie przechwalałem,  
ale pokazało się, że najodważniejsza  
z nas wszystkich, to ta pocziwa kwocz-  
ka, a wyście się z niej naśmiewali.  
Dzielnie się popisała, niema co mówić!  
Ona tak kocha swoje dzieci, że goto-  
waby zginąć w ich obronie. Otóż to  
podobno tak zawsze bywa; ci, co się  
zbytecznie pyszną i przechwalają,  
a z innych szydzą, nie zawsze są tak  
odważni w czynach, jak w słowach.





## DOBRA TERENIA.

erenia bawiła się ładnym pudełeczkiem które dostała od cici, składała w nie różne graciki, zamykała je i odmykała. Wtem zbliżył się młodszy jej braciszek, Wacio, i zaczął się napierać, żeby mu pokazała, co tam jest w pudełku. Ona się chętnie na to zgodziła i zaczęli się bawić razem. Ale Wacio tak dokuczał siostrzyczce, tak wszystko psuł i rozrzucał, że jej się to w końcu uprzykrzyło, powiedziała mu więc, żeby sobie poszedł, bo ona się z nim bawić nie chce.

Wacio rozgniewał się, podniósł rączkę i uderzył ją z całej siły. Terenia się rozplakała i w pierwszej chwili

li chciała mu oddać wet za wet; już nawet zamierzyła się uderzyć braciszka, ale się powstrzymała i opuszczając rączkę, a drugą ocierając łezki, powiedziała łagodnie:

— Jakże mogłeś to zrobić, mój Waciu? Czyż nie wiesz, że to boli? Weź sobie moje pudełeczko i baw się niem przez cały dzień, tylko bądź grzeczniejszy.

Wacio się bardzo zawstydził, bo chociaż był jeszcze mały, zrozumiał, że źle zrobił i że siostrzyczka daleko lepsza była od niego. Zaczął ją przeproszać i obiecywać, że już nigdy tego więcej nie zrobi.

Gdy się już dzieci pogodziły, mama, która to wszystko widziała i słyszała z drugiego pokoju, przyszła i zapytała Tereni, dla czego podniosła zrazu rączkę na braciszka, ale go nie uderzyła, i przeciwnie oddała mu potem ulubioną zabawkę na cały dzień.

Dziewczynka się uśmiechnęła i szepnęła cichutko:

— Bo ja sobie przypomniałam, co mama nam wczoraj mówiła, co to Pan

Jezus powiedział: „Miłujcie jedni drugich, oddawajcie dobrem za złe“.

Ucieszyła się matka tą odpowiedzią Tereni i rzekła:

— Widzisz teraz sama, moje dziecko, jak to dobrze się stało, że wolałaś usłuchać tych słów Boskich, aniżeli własnego, złego popędu. Gdybyś była uderzyła braciszka, bylibyście się jeszcze gorzej poważnili, a on nie żałowałby pewnie teraz swojego postępuku. Pamiętaj i w dalszem życiu tak czynić, a przekonasz się, że zawsze łatwiej jest każdego skłonić do poprawy dobrocią i łagodnością, aniżeli gniewem! Gdyby wszyscy ludzie miłowali się wzajemnie i przebaczali sobie urazy, byliby pewnie daleko szczęśliwsi, a złych byłoby mniej na świecie, bo chętniejby się poprawiali.

---

## PRZECHADZKA.

---

Wiosna była i ciepło na dworze; Józio i Helenka wybrali się na przechadzkę do Łazienek i Botanicznego



ogrodu w towarzystwie nauczycielki. Wybiegali się porządnie i zmęczeni, spoceni, powrócili do domu przed samą herbatą. W jadalnym pokoju, oprócz rodziców, siedział przy stole doktor, przyjaciel domu, który zawsze dzieciom przy każdej sposobności dawał dobre rady o zachowaniu zdrowia.

— No, siadajcież, dzieci — rzekła matka — pijcie herbatę; pewnie macie dobry apetyt po takiej dalekiej przechadzce.

— Dobrze, bardzo dobrze — mówił doktor — że dziatwa używa ruchu; to bardzo zdrowo.

— Zaraz, mamuniu — mówiła Helenka — tylko wprzód wody się napiję, bo mi się strasznie pić chce.

— A ja — dodał Józio — wybiegnę troszkę na balkon, żeby się ochłodzić. Panna Walerya nie pozwoliła zdjąć palto-cika na dworze i cały się spociłem.

— Broń Boże — zawołała matka z żywością — sto razy wam przecież powtarzałam, że nie można pić zimnej wody, ani na przeciąg się narażać, je-

śli kto jest zmęczony i spocony. Czy zapomnieliście o tem?

— Piękna rzecz—odezwał się doktor, pokręcając głową — piękna rzecz. To tak zupełnie, jak gdybyście chcieli umyślnie postarać się o jaką chorobę, aby użyć różnych takich przyjemności, jak pijawki, wezykatorye, gorzkie miksturki i tak dalej. Widać, że to lubicie.

— Ależ, panie doktorze — rzekła Helenka, siadając z minką zawstydzoną troszkę przy stoliku— ja myślałam, że to niezdrowo tak się delikacić.

— Trzeba się przecież hartować — dodał Józio, siadając obok siostrzyczki — sam pan doktor mówił nieraz, że źle jest rozpieszczać się zanadto, bo potem najmniejsza rzecz zaszkodzi.

— Prawda — rzekł doktor — ja wszystkim zalecam hartowanie ciała — ale trzeba wprzód zrozumieć, co to jest rozsądne hartowanie, a co nierozwaga. Cobyście na to powiedzieli, gdyby ktoś, chcąc nabyć zręczności w ruchach, nie odbywał porządnie gimnastycznych ćwiczeń, ale przechylał się nieostroż-

nie nad krawędzią głębokiej studni. Dla dzieci najlepszem hartowaniem jest zimna woda. Trzeba się codzień obmywać porządnie, latem i zimą, chociaż to troszkę nieprzyjemnie. Podobno Józio, taki skory do hartowania się na balkonie i Helenka, która tak spieszyła do karafki z zimną wodą, nie bardzo lubią mieć do czynienia z tą samą zimną wodą z rana po przebudzeniu.

— Ja już teraz się przyzwyczaiłem — rzekł Józio.

— I ja także — dodała Helenka — ale z początku to doprawdy było bardzo nieprzyjemnie.

— Właśnie też o to idzie — mówił doktor — ażeby ciało do chłodu przyzwyczać i uczynić je przez to mniej czułem na przypadkowe przeziębienie. Przypadkowe, uważacie dzieci? bo rozsądni ludzie nie mogą się narażać namyślnie na przeziębienie i chorobę. Zimno samo nie tyle szkodzi, co nagłe przejście z ciepła do zimna lub z zimna do ciepła. Można wychodzić na mróz, można także przebywać w mieszkaniu niezbyt ogrzanem, jeżeli się do

tego przywyknie. Ale nigdy nie można pić raptem zimnej wody, albo na zimno wychodzić po rozgrzaniu, a zwłaszcza przy spoceniu. Cóż, czy teraz już rozumiecie, moje dzieci, co to jest rozsądne hartowanie, a co nieostrożność?

— Rozumiemy, rozumiemy, panie doktorze — wołały dzieci.

— Pamiętajcież — zakończył doktor — nigdy się nie napierać wody, gdy jesteście spoceni i nigdy znów nie wypraszać się od zimnego obmywania.





## PODSŁUCHANA ROZMOWA.

o też to na tym świecie jest niepotrzebnych rzeczy — mówił bocian, stojąc poważnie na jednej nodze nad brzegiem strumyka.—Do czego to naprzykład te wszystkie drzewa,

co rosną po lasach, zioła i kwiaty na łąkach, zboże na polach. Czy nie lepiejby było, żeby całą ziemię pokrywały przepyszne bagna, pełne żab i wszelkich płazów. Tożby dopiero ród bociani opływał w rozkosze. Nie wiem doprawdy, dla czego to Pan Bóg nie urządził tak świata.

— Co ty pleciesz, niemądry bocianie — odezwała się czapla, potrząsając czubem. — Lasy i łąki są doprawdy niepotrzebne, ale i bagna niewiele pożytku przynoszą. Lepiejby było, żeby

rzeki i strumienie płynęły na całej ziemi jedne przy drugich, bo w takich głębszych wodach jest zawsze dużo ryb wszelkiego rodzaju.

— Już to i ty nie jesteś wcale rozumniejsza od bociana — odezwała się wrona, siedząca na gałęzi. — Drzewa są bardzo potrzebne, bo na czembyśmy my, ptaki leśne, budowały gniazda? Jabym się nie gniewała, żeby sobie wszystkie rzeki powysychały, byle tylko w jakich małych strumykach trochę wody do picia zostało. Kwiaty na łąkach, to doprawdy na nic się nie zdały, ale zboża są pożyteczne, bo wydają smaczne ziarna. Ja mówię, że ze wszystkiego najpotrzebniejsze są owoady i wszelkie robactwo i chciałabym, ażeby tego pełno było wszędzie.

— Dziwny masz gust, moja wrono — odburknął bocian pogardliwie — ja powiadam, że ten drobiazg darmo tylko miejsce zabiera na świecie.

— Co też to niemądre ptactwo wygaduje — szepnął lis, ukryty za krzakiem — ani żaby i płazy, ani ryby, ani owoady, nie są wcale potrzebne! Zboże

i zioła mogłyby także sobie wyginać, jabym ich nie żałował, byle tylko było dużo ptaszków, a zwłaszcza smacznych, tłusciutkich kurek, przepiórczek, kuropatewek. Ach! tego doprawdy jest trochę za mało. Nie wiem, czemu Pan Bóg tak nie urządził świata, żeby ptactwo krążyło wszędzie ogromnemi stadami, a poczciwy lis mógł się pożywić. Gdyby jeszcze te ptaki nie miały skrzydeł i dawały się łatwiej łowić, tożby dopiero była wygoda!

— Jak to można prawić takie androny—zabrzączał chrabąszcz—to właśnie ptaki są zupełnie niepotrzebne na świecie; one najwięcej przesładują biedne owady. Najlepiej byłoby, żeby sobie wszystkie wyginały. Ziemia przesłiznieby wyglądała, gdyby była cała zarosnięta pięknymi liściastymi drzewami i kwitnącemi krzewami, byle w nich tylko żadne drapieżne stworzenia się nie lęły. Tożby dopiero chrabąszczom było przyjemnie i wygodnie na świecie.

— Dobrze mówisz — potwierdziła pszczoła — ale jabym chciała, żeby te drzewa i krzewy miały zamiast liści

same kwiaty; byłoby z czego miód robić, bo z liści niema żadnego pożytku i możnaby się bez nich obejść. Łąki, na których dużo ziół kwitnie, pożyteczniejsze są daleko od lasów.

Młody pastuszek drzemał sobie pod drzewem na skraju lasu, w pobliżu strumyka i przez sen słyszał tę rozmowę, a przebudziwszy się przetarł oczy i śmiać się zaczął do rozpuku.

— A tożby dopiero świat pięknie wyglądał — mówił pastuszek - - gdyby Pan Bóg chciał każdemu z tych doradców dogodzić. Jak to źle myśleć tylko o sobie i o swoich dogodnościach. Bocian nie rozumie, że gdyby nie było owadów, toby mu i żab zabrakło, bo one najwięcej owadami się karmią. Wrona nie wie o tem, że owady nie mogłyby żyć bez kwiatów, bo one z nich słodki sok wysysają, a lis ani pomyślał, coby jadły tłuste ptaszki, gdyby nie było ani owadów, ani ziarenek. Teraz dopiero widzę, jak to nierozsądnie narzekać, że na tym świecie nie tak jest, jak my chcemy i wyobrażać sobie, że Pan Bóg mógł coś niepotrzeb-



nego stworzyć. To, co jest niepotrzebne dla nas, może być bardzo potrzebne dla innych. Zresztą my często i własnego pożytku dobrze zrozumieć nie możemy.

DO LALKI.

Laleczko moja malutka,  
Oj, wielka z ciebie filutka,  
Przymilasz mi się tak słodko,  
Laleczko, moja pieszczotko.  
Sukienki ci się zachciało,  
A masz ich przecież niemało;  
Lecz tobie śni się już nowa,  
Prześliczna, adamaszkowa.

I nie to wcale dziwnego,  
Laleczką jesteś od tego;  
Dla ciebie szmatka jaskrawa,  
To bardzo ważna jest sprawa.  
To całe szczęście jest twoje,  
Kosztowne posiadać stroje,  
I od samego już rana  
Myśleć, jak będziesz ubrana.  
Bo w twojej głowce tak pusto,  
Tam tylko groch w niej z kapustą,  
Tylko wróbelki latają,  
I haree wciąż wyprawiają.

Ja też się tobie nie dziwię,  
Bardzo to jednak szczęśliwie,  
Że w mojej główce dziewczęcej  
Może się zmieścić coś więcej.

Bo to laleczce przystoi,  
Kiedy się cały dzień stroi:  
Gdy lachmankami się bawi,  
Drogi nad niemi czas trawi.

Ale ja tego nie zrobię,  
Na lalkę się nie sposobię,  
Mogę sukienkę mieć ładną,  
Lecz niekoniecznie paradną.

Czy to nie szkoda pieniędzy,  
Tyle na świecie jest nędzy!  
Czy to mnie strojów potrzeba,  
Gdy ludziom brakuje chleba.

Ja lubię moję laleczkę,  
Ale ja więcej troszeczkę  
W sercu i główce mieć muszę —  
Na to mi Pan Bóg dał duszę.



## Z G O D A.

~~~~~

Wujcio zasiadł do fortepianu, a dzieci, usłyszawszy granie, zbiegły się wszystkie i otoczyły go w koło. Mała Andzia rzuciła lalkę i stanęła przed

fortepianem, trzymając rączki w tyle i patrząc w oczy starszej siostrzyczce Maryni, jak gdyby powiedziec chciała, że ona, broń Boże, nie uderzy po klawiszach i nie przeszkodzi wujciowi, tylko grzecznie i spokojnie słuchać będzie ślicznego grania.

A było czego posłuchać, bo wujcio grał takie wesołe mazurki i krakowiaki, że mimowoli nóżki rwały się do podskoku, to znów dumki tak rzewne, że aż na płacz się zbierało. Czasem i zaśpiewał jakąś piosenkę, a dzieci mu wtórowały i wtenczas nawet piastunka Magdusia zbliżała się na palcach i słuchała, kiwając w takt głową.

Pewnego wieczoru, gdy właśnie zaczęło się to piękne śpiewanie, z drugiego pokoju odezwał się brzęk taki przeraźliwy, że aż dzieci wstrzęsły się całe, a wujaszek nagle grać przestał. Poszli wszyscy do drugiego pokoju i obaczyli, że to kot zakradł się na półkę kredensową i zrzucił na ziemię wielki dzbanek z mlekiem. Mleko się rozlało na podłogę, a dzbanek potłukł się na drobne kawałki.

— Ach — mówiła Marynia, przyciskając obie rączki do bijącego serduszka — taki ten hałas był okropny i tak się brzydko wydawał przy tem ślicznem graniu i śpiewaniu, że aż mi się straszno zrobiło, choć tu nie było przecież czego się obawiać.

— To prawda — rzekł braciszek jej, Oleś — gdyby to się zdarzyło w innej chwili, nie przy tem graniu, tobyśmy byli wcale się nie zlekli; a tak i ja się cały zatrzęsłem, nie ze strachu, naprawdę, tylko tak jakoś nieprzyjemnie mi było słuchać takiego okropnego brzęku przy ładnej muzyce.

— A wiesz, dla czego? — powiedział wujaszek — bo ta muzyka, to były dźwięki zgodne, a brzęk stłuczonego dzbanka domieszał do nich inny dźwięk niezgodny, fałszywy i dla tego taki nieprzyjemny. Zgoda, jedność, zawsze sprawia wrażenie miłe, a niezgoda, niepokój, przykre bardzo. Czy nie doznajecie tego sami? Gdy wszyscy jesteście z sobą w zgodzie, ustępujecie sobie wzajemnie, miło wam wtenczas, nieprawdaż? Ale gdy powstanie kłót-

nia, zaraz i przykrość się zaczyna, każdy jest niezadowolony z siebie i z drugich. Powiedzcie, czy nie tak?

— A to czysta prawda — mówiła Marynia, Ignas potwierdził skinieniem głowy.

— Nie zapominajcież o tej nauczce, dzieci — powiedział wujcio i powrócił do fortepianu i znów po chwili rozległy się dźwięki zgodne i miłe.

~~~~~

### × NIEZDROWE ZABAWKI.

Helenka ubierała kapelusik dla lalki i trzymała w ustach piórko zielone. Wtem wszedł do pokoju doktor, przyjaciel rodziców.

— Co też te dzieci wyrabiają — zawołał, gdy to obaczył — tyle razy wam powtarzałem, że nie trzeba nigdy brać do ust nic takiego, co nie jest do jedzenia, bo można natrafić na truciznę.

— Co też pan doktor mówi — odezwał się Józio, siedzący obok siostrzyczki — a któżby to zatrul taką rzecz, jak piórko?

— Ja też nie mówię — rzekł doktor — aby kto je naumyślnie zatrul, ażeby zaszkodzić Helence; ale często bardzo w farbach jest trucizna. Zawsze więc dzieci powinny być bardzo ostrożne z kolorowemi zabawkami i nie brać ich do ust. Są jednak takie dzieci, które wszystko ślinią, wszystkiego językiem dotykają, czasem i brudnych, brzydkich rzeczy. Nie wiem, czy brudy mogą być smaczne, ale jeżeli kto je lubi, to już mniejsza o to. Może być jednak coś gorszego w kolorowych zabawkach, może być trucizna. Do farb dodają czasem arszeniku, do innych ołowiu, a to są straszne trucizny.

— Alboż ołów jest trucizną? — zapytał Józio — toż wszystkie dzieci bawią się ołowianymi żołnierzami i zwierzątkami, a nie trują się niemi. Czy ja wiedziałem, że to trucizna?

— Ba! czy to jedna jest rzecz na świecie, o której ty jeszcze nie wiesz — rzekł doktor — dzieci nie trują się ołowianemi zabawkami, bo ich przecież nie jedzą, a choćby i wzięły do ust kawałek twardego i suchego ołowiu, to

im nie zawsze zaraz zaszkodzi. Ale ołów w wilgoci pokrywa się brudnym osadem i ten osad straszną jest trucizną. To samo jest z miedzią. Widzieliście może kiedy grosze miedziane, zabrukane i pozieleniałe. Ten brud zielony jest to także okropna trucizna; często jednak dodają jej do farb zielonych. Z ołowiu znów robi się farba biała, bardzo szkodliwa. Trudno nie brać do ręki zabawek i innych rzeczy, ale nie trzeba ich dotykać ustami. Najlepiej zaś obmywać jaknajczęściej ręce, zwłaszcza, jeśli się coś robi z ołowiem, miedzią, lub kolorowemi gracikami.

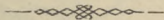
— Ach, panie doktorze — rzekła Helenka — jakże to dobrze, że moje ołowiane gospodarstwo się popsuło. Nie chcę już w takie naczynka wkładać żadnego jedzenia, nawet i dla lalki. Poproszę mamy, żeby mi kupiła gospodarstwo porcelanowe, albo drewniane, bo w drzewie i w porcelanie niema przecież trucizny?

— Niezawodnie, byle tylko drzewo nie było zafarbowane brzydką farbą — powiedział doktor.



— A ja — rzekł Józio — straciłem zupełnie ochotę do ołowianych żołnierzy. Wolę tekturowych, bo ten ołów to straszna jest rzecz.

— Dobrze bardzo mówisz — rzekł doktor — chociaż to wszystko nie jest straszne dla dzieci ostrożnych, lepiej zawsze unikać niebezpieczeństwa. Najgorsze ze wszystkiego są cukierki kolorowe, bo chociaż rzadko się zdarza, aby dodawano do nich szkodliwych farb, zdarza się to jednak niekiedy. Najlepiej też nigdy nie jeść bez pozwolenia rodziców, i nie dotykać ustami takich rzeczy, które nie są do jedzenia.





DZIECI I MIECH.

## DZIECI I MIECH.

— Co tam siedzi w tym miechu, co tam z niego  
[dmucha?

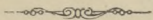
Tak pyta Mateuszek i na wszystkie strony  
Miech obraca, ogląda, przykłada do ucha.

— A przecież coś w nim siedzi — powtarza  
[zdziwiony.

—  
Brat i siostra nie skąpią także swojej rady,  
Po swojemu tłumaczyć każde usiłuje;  
Z żarliwości o mało nie przyszło do zwady,  
Miech wciąż mileży uparcie, a wciąż podmucha.

—  
Aż w końcu Mateuszek nożyk w rękę chwyta,  
I woła:—Wiem, co zrobię! czekanie na nic się nie  
[zdało,

Miech w tej chwili rozetnę, obaczę i kwita!  
Rozciął, spojrzął, miech próżny, dmuchanie ustało.





## LOLA I NERON.

~~~~~

Lola, mała dziewczynka jasnowłosa
i Neron, ogromy pies czarny, byli
z sobą w wielkiej przyjaźni. Neron

był z gatunku takich psów, co doskonale pływać umieją i ratują tonących.

Lola często bawiła się w ogrodzie, gdzie była głęboka sadzawka. Neron wtenczas nie odchodził od niej na krok, bo dobrze rozumiał, że dziewczynka mogła wpaść w wodę. Mama Loli wiedziała, że wierny pies dobrze jej pilnuje i zostawiała ją nieraz przy sadzawce z Neronem.

Lola miała wujcia, młodego chłopczyka; był on jeszcze w szkołach i na wakacye przyjechał na wieś do swojej siostry, mamy Loli. Wujcio ten był bardzo wesół, figlarz wielki, z Lolą doskonale się bawił i z Neronem się zaprzyjaźnił. Raz przyszło mu do głowy figla wypłatać poczciwemu pieskowi.

— Poczekaj, Neronku—mówił swawolny wujcio—wszyscy powiadają, że ty za nie nie odstąpisz Loli, gdy sama chodzi po ogrodzie bez piastunki. Otóż ja tak zrobię, że ty zapomnisz o Loli, wyjdiesz nawet z ogrodu i zostawisz ją samą przy sadzawce! Zobaczysz, zobaczysz, że ja tę sztukę zrobię. Tylko

ty, Loluniu, nie wpadnij wtenczas do wody, jak piesek ciebie odejdzie.

— Nie, nie, niech się wujcio nie boi — mówiła Lola — ale co to wujcio zrobi Neronowi? Jeszcze nigdy tak nie było, żeby on mnie samę w ogrodzie zostawił.

— Zobaczysz, że dzisiaj tak będzie — rzekł wujcio.

I poszedł do gospodyni, wyprosił u niej kawałek słoniny, kazał ją przypiec przy ogniu, żeby miała zapach przyjemny. Każdy piesek taki zapaszek bardzo lubi.

Figlarz wujcio zawinął słoninkę w papier i poszedł do ogrodu. Lola bawiła się na murawie obok sadzawki, a Neron siedział przy niej i patrzył na nią łagodnie.

Wujcio zbliżył się ze słoninką w ręku i podał ją Neronowi. Pies zerwał się uradowany i kręcąc ogonem podbiegł żwawo, ale gdy chciał pochwycić słoninę, wujcio powoli zaczął się odsuwać w tył, a ciągle cmokał i wołał pieska, żeby szedł za nim.

Neron zatrzymał się zakłopotany;

patrzył na słoninkę i ślinkę łykał, bo mu się bardzo tego przysmaczku chciało, a potem znów spoglądał na Lolę. Wujcio odszedł jeszcze dalej, a poczciwy pies spuścił uszy i powrócił na swoje miejsce.

Lola zaczęła klaskać w rączki i śmiać się z wujcia, że mu się figiel nie udał, ale on chciał koniecznie postawić na swoim.

— Poczekaj, poczekaj — mówił — jeszcze twój Neronek złakomi się na moję słoninkę.

— Otóż nie, nie złakomi się.

— Zobaczysz, zobaczysz.

I znowu podszedł bliżej i znowu cmokał i wołał Nerona, i słoninkę mu pokazywał.

Pies leżał cicho przez chwilę, jak gdyby tego nie widział, a potem zawarczał i zęby pokazał tak groźnie, że wujcio zaczął uciekać, jak niepyszny, ze swoją słoniną.

Lola śmiała się do rozpuku, objęła poczciwego Nerona za szyję obiema rączkami i pocałowała go w kudłatą

głowę. On ją liznął po rączce, zapewne chciał powiedzieć:

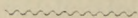
— Bądź spokojna, panienko, ja ciębie nie odstąpię, nikt mnie do tego nie namówi, ja wiem dobrze, że to mój obowiązek.

Potem Lola wstała i powróciła do pokoju. Pies wtenczas podniósł się także i poszedł za nią. Opowiedziano mamie tę zabawną przygodę, wujcio był troszkę zawstydzony, a mama się uśmieiała z niego i palcem na nosie mu pogroziła.

Neron dostał przysmażoną słoninkę i zjadł ją teraz z wielkim smakiem, bo miał sumienie spokojne. Ale na wujcia gniewał się przez cały dzień, dopiero nazajutrz się pogodzili.

— Dobra to nauczka dla ciebie, Loluniu — mówiła mama. — Neron, taki zawsze łagodny, teraz pogniewał się na wujcia za to, że go do złego namawiał i nie dał się namówić. To poczciwe zwierzę, nietylko dla małych dzieci, ale i dla starszych może być przykładem.

I mama znowu z uśmiechem pogroziła wujciowi.



RÓZIA I BRACISZEK.

Rózia miała młodszego od siebie braciszka, Ignasia i kochała go niezmiernie. A jednak nieraz była dla niego niegrzeczna i przykra. Bo Rózia, jakkolwiek dobra i roztropna dziewczynka, często się niecierpliwiła i wtenczas nie umiała się powstrzymać od gniewu.

Jeżeli Ignas, zwyczajnie jak małe dziecko, naprzykrzył się jej, coś porozrzucił lub popsuł, ona zaraz wpadała w złość, krzyczała na niego, nazywała go nieznośnym, brzydkim, a czasem nawet tak się zapominała, że podnosiła rączkę na braciszka i uderzała go z całej siły. Biedny Ignas zaczynał płakać, a jej zaraz się żal robiło, bo nie była zła, tylko popędliwa; ścisnęła więc braciszka, przeproszała i zawsze się wszystko kończyło najlepszą zgodą.

Matka ich była wdową i oprócz tych dwojga dzieci nie miała innej pociechy w życiu. Ze smutkiem patrzyła na popędliwość córeczki; strofowała ją, upominała, powtarzała jej ciągle, że cier-

pliwość każdemu jest koniecznie potrzebną, bo wszyscy musimy znosić różne przykrości i przeciwności, wszyscy też musimy się zgodzić, nietylko z rodziną, ale i z obcymi ludźmi. Różia płakała, przepraszała mamę, a w końcu mówiła:

— Moja mamó, ja wiem, że to źle, mnie tak żal potem, jak ten gniew przeminie, ale kiedy się wstrzymać nie mogę; doprawdy, mateczko, żadnym sposobem nie mogę się wstrzymać.

— Wstydz się — mówiła matka — czyż nie wiesz, że Pan Bóg poto dał ludziom rozum i wolę, aby się od złego wstrzymać umieli.

Różia nieraz postanawiała się poprawić, ale widać, że nigdy nie uczyniła szczerego i silnego postanowienia, bo zawsze swoim zwyczajem wpadała w złość, ile razy braciszek jej dokuczył.

Pewnego dnia rozkrzyczała się na niego okropnie, popchnęła go nawet i szturchnęła, gdy Ignas naprawdę dziwnie się jakoś rozgrymasił i marudził, sam nie wiedział czego. W końcu

pobiegł do mamy i zaczął się skarżyć, że go główka boli.

Przeleżała się mama, zwłaszcza, gdy spostrzegła, że chłopczyk miał główkę gorącą, i czerwoną, rozpaloną twarzyczkę. Posłano zaraz po doktora. Rózia się rozplakała, bo jak zwykle, bardzo żałowała po niewczasie, że tak była niecierpliwą dla malutkiego, a przytem chorego braciszka.

Ignas dostał gorączki, a doktor powiedział, że choroba jest niebezpieczna i zalecił jaknajwiększy spokój. Mama dzień i noc siedziała przy łóżeczku Ignasia, spełniała wszystkie przepisy lekarza i modliła się gorąco, ażeby jej Bóg zachował ukochane dziecko.

Domyślacie się zapewne, co się działo z Rózią. Teraz, kiedy braciszek był taki chory, kiedy czuła, że może umrzeć, zrozumiała dopiero, jak on był dla niej drogim, jak go kochała gorąco. Ale zarazem dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie była dla niego dobrą, łagodną siostrzyczką, i nawet w początkach choroby tak niegrzecznie się z nim obchodziła. Teraz, prosząc Boga o zdro-

wie Ignasia, prosiła także szczerze i serdecznie o tę łaskę, ażeby mogła poprawić się i przewyciężyć skłonność do popędliwości i gniewu.

Ignas ciężko chorował, ale Bóg zliłował się nad biedną jego mamą i wrócił mu zdrowie. Długo jednak bardzo chłopczyna nie mógł zupełnie wydobrzeć, osłabiony był bardzo i jak to zwykle bywa z małemi dziećmi po chorobie, zrobił się grymasny i marudny.

Nikt jednak nie umiał mu tak dogodzić, tak go zabawić, jak Rózia. Nasza dziewczynka dziwnie się teraz zmieniła. Nigdy się nie sprzeczała z braciszkiem, nie zniecierpliwiała się ani razu, z największą słodyczą i łagodnością przemawiała do niego, nie przykrzyło jej się po dwadzieścia razy rozstawiać żołnierzy lub domki z kart budować, choć on co chwila przewracał tę jej robotę. A gdy pomimo wszelkich usiłowań siostrzyczki, Ignas zaczynał się mazać lub napierać takich rzeczy, których mu dać nie można było, ona zawsze umiała powiedzieć coś tak zabawnego, że go rozśmieszyła i zapomi-

nał o swoich niedorzecznych zachciankach.

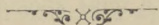
Mama z radością patrzyła na tę pozyteczną zmianę w swojej córeczce, a raz, trzymając na kolanach Ignasia, który coraz lepiej wyglądał i coraz mniej grymasił, powiedziała z uśmiechem:

— Cóż, czy przekonałaś się teraz, moja Róziu, że można się powstrzymać od gniewu i popędliwości?

— O mamo!—szepnęła Rózia, i spuściła oczki, bo ze wstydem przypomniała sobie dawniejsze słowa.

— Widzisz, moje dziecko—mówiła mama — pragnęłaś szczerze poprawić się, i Bóg ci dopomógł. Pragnęłaś tego, bo kochasz bardzo braciszka i miłość ta zwyciężyła w twojem sercu złość i niecierpliwość. Pamiętaj zawsze na te słowa Pisma Ś-go:

„Miłość wszystko może, wszystko zwycięża.“



TEODOREK.



Teodorek dzielny, żwawy.
Do roboty, do zabawy,
Zawsze wesół i ohooczy,
Na głos matki w lot poskoczy,
W każdej chwili, na skinienie,
Gotów spełnić jej zlecenie.
Ale trudno być bez wady.
Bo już na to niema rady,
Ludzie nie są doskonali,

Aby w dobrem wciąż wytrwali —
I nasz chłopak, tak poczciwy,
Bywał czasem popędliwy.

Raz dla matki na wiązanie
Wykończył powinshawanie;
Napracował się niemało,
Ale ślicznie się udało.
Kaligrafia i ozdoby,
On na wszystko miał sposoby.
Schował papier do stolika,
Lecz nie wyjął zeń kluczyka.

A siostrzyczka psotna mała
Do szuflady się dobrała,
Nieostroźnie się bawiła
I kałamarz wywróciła.

Łatwo zgadnąć, co się stało —
Atramentu się nalało
Do szuflady; co w niej było,
Wnet do szczętu się zniszczyło.
Już się dziecku na płacz zbiera —
Wtem braciszek drzwi otwiera.

— Teodorku, to niechcący,
Jadzia woła i proszący,
Wzrok podnosi, rączki składa...
Ach! nieszczęsna ta szuflada!
Atramentu pełno wszędzie,
Już z wiązania nie będzie.

Chłopak stanął w ogniu cały,
I łzy żalu go oblały,
A i gniewem kipi razem:
— Ej, nie ujdzie ci to płazem!
I już pięścią wymachuje...
A wtem nagle się wstrzymuje.

Chwyta pismo poplamione
I wybiega w drugą stronę,
I przed matką naraz staje,
Smutne szczątki jej oddaje.
Z oczu jego łezka splywa,
On w te słowa się odzywa:

— Patrz, mateczko, Jadzia mała
Taką psotę mi splatała.
Ja się strasznie rozgniewałem,
Ledwo, ledwo się wstrzymałem.
To zwycięztwo, to wyznanie,
Przyjmij, mamó, na wiązanie.



KOTEK JADWINI.



Jadwinia miała ślicznego małego kotka i niezmiernie go lubiła. Kizio, tak się ten kotek nazywał, siedział zawsze w pokoju i sypiał w koszyczku, który stał w przedpokoju pod piecem.

Ale dnia pewnego Małgorzata, dawna piastunka Jadwini, przyniosła jej w podarunku oswojonego szpaka. Dziewczynka była więc teraz w kłopotcie wielkim, bo żałowała pozbywać się ulubionego kotka, a tu obawiała się, aby drapieżny z natury Kizio nie udusił ptaszka.

Poradziła jej na to ciocia. Powiedziała, że kot jest jeszcze młody i można go przyzwyczaić, ażeby z ptaszkiem żył w zgodzie i żadnej mu krzywdy nie robił. Sama też ciocia zajęła się wychowaniem Kizia; różnych do tego używała sposobów: i łagodności, i groźby, czasem nawet i do kar uciekać się musiała, ale w końcu doszła do tego, że kot zdaleka już tylko spoglądał na ptaka pożądliwie, nie śmiał jednak rzucić się na niego.

Z czasem Kizio tak się przyzwyczaił do tej wstrzemięźliwości, że Jadwina mogła bez najmniejszej obawy zostawiać go samego w pokoju ze szpakiem, nigdy mu kotek nic złego nie zrobił, a nawet żył z nim w zgodzie i przyjaźni.

— Widzisz, Kiziu — mówiła dziewczynka do kotka, trzymając go na kolanach, a roztropny ptaszek przechadzał się tymczasem przed nimi na stoliku i zdawał się słuchać uważnie — Widzisz, Kiziu, jak to rozsądnie z twojej strony, że umiesz się powstrzymać i nie złego nie robisz temu pocziwemu ptakowi. Inaczej musiałbyś pójść do obcych ludzi, gdzieby ci pewnie nie było tak dobrze, jak u twojej pani. Żałowałabym ciebie, mój koteczku, ale nie mogłabym pozwolić, aby niewinne stworzenie cierpiało z twojej przyczyny.

Kot zaczął mrużyć, podnosząc łebek do góry i patrząc w oczy Jadwini, tak zupełnie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Prawda, prawda, jak też ta panienczka rozsądnie mówi.

Szpak przystanął na stoliku i główkę poruszył, jakby na znak, że i on to samo myśli.

Ciocia usłyszała tę rozmowę dziewczynki ze zwierzątkami i odezwała się w te słowa:

— A ty, moje dziecko, patrząc na to postępowanie Kizia, zastanów się, jak wiele może dobre wychowanie. Jeżeli nawet takie drapieżne zwierzątko, nie mające rozumu, może przewyciężyć swoje wrodzone popędy, gdy się do tego przyzwyczai, jakież to wstyd dla dzieci, które nie chcą panować nad złemi swojemi skłonnościami! Kot nie umie odróżnić dobrego od złego, i nie potrafi nauczyć swojego kociątka, ażeby się powstrzymało od okrucieństwa. Ale ludzie nieraz nawet i bezrozumne zwierzęta zmuszają do tego, by pokonały dzikie swe popędy. Rodzice wiele dokładają starań, aby dzieci nakłaniać do dobrego, bo tak, jak kotek, póki jest młody, łatwo daje się do wszystkiego przyzwyczaić, tak i dziecko, choć jeszcze samo niewiele ma rozumu, jeżeli jest dobrze wychowane, nabiera dobrych zwyczajów. Ale gdy już samo zacznie pojmować, co jest dobre, a co złe, powinno starać się wszelkimi siłami coraz lepszym się stawać.

— Ach, moja ciociu—mówiła Jad-

winia — ja już doskonale rozumiem, co jest dobre, a co złe, ale czasem doprawdy jakąś mam dziwną ochotę zrobić coś troszkę niedobrego, jakgdybym ja także była jakimś zwierzątkiem, co to ma, jak ty, ciociu, powiadasz, dziwie popędy.

— My wszyscy, moje dziecko—odrzekła ciocia z uśmiechem — mamy w sobie potrochę tej natury zwierzątka, która nas do złego ciągnie. Ale tem właśnie od zwierząt się różnimy, że my się przewyciężyć możemy, jeżeli tego chcemy szczerze, bo Bóg nam dał głos wewnętrzny, który nas ostrzeżęga, jeśli to, do czego mamy ochotę, nie jest dobre.

— O, cioteczko—rzekła Jadwinia—już ja teraz będę się zawsze przewyciężała. Nie chcę być gorszą od Kizia.

~~~~~

## BASIA.

~~~~~

Basia była miła i roztropna dziewczynka, miała jednak jedną brzydką wadę: nie zawsze słuchała mamy,

zwłaszcza, gdy nikt tego nie widział. Nieraz myślała sobie:

— Ej, co tam, mamunia się nie dowie, to i gniewać się nie będzie.

Dzieciom się zdaje, że mamy słuchać potrzeba dla tego tylko, aby się nie gniewała i nie karała za nieposłuszeństwo. Nie wiedzą o tem, że rodzice wcale nie dla siebie, nie dla własnej swojej dogodności wymagają tego, aby ich dzieci słuchały, lecz dla dobra tych dzieci.

Basia lubiła niezmiernie wchodzić do kuchni, zbliżać się do pieca, przypatrywać się, jak kucharka przyrządza różne potrawy. Mama jednakże wtenczas tylko na to pozwalała, gdy sama była w kuchni i mogła dopilnować Basi, ale surowo jej zabroniła chodzić tam bez siebie... Basia nigdy nie pomyślała, że mama musiała mieć ważną przyczynę do tego, bo pocóżby odmawiała przyjemności córeczce, gdyby to jej nie mogło zaszkodzić?

Pewnego dnia bona Basi dostała tak silnego bólu głowy, że się musiała położyć, a tu mamie wypadła ko-

nieczna potrzeba wyjść do miasta za sprawunkami. Wychodząc, powiedziała mama:

— Moja Basiu, muszę cię na chwilę zostawić z Julisją, ale ja prędko wrócę, pamiętaj, żebyś była grzeczna, a nadewszystko cię proszę, nie chodź do kuchni.

Julisia była to służąca, dobra bardzo dziewczyna, ale trochę roztrzepana. Jak tylko mama wyszła, ona zaraz przypomniała sobie, że musi koniecznie pobiedz do sklepiku po bawełnę do cerowania pończoch i powiedziała do Basi:

— Niech się panienka pobawi lalką, ja w tej chwili powrócę — i wybiegła.

Basia, zamiast bawić się grzecznie w pokoju i pamiętać o zaleceniach mamy, otworzyła drzwi, poszła do sieni, a ztamtąd do kuchni. Nie było tam nikogo, bo kucharka także gdzieś wybiegła. Nasza Basia zaczęła się kręcić po kuchni, zaglądać po wszystkich kątach, wszystkiego dotykać. Zobaczyła na stole ogromny nóż, którym kuchar-

ka siekała kotlety, chciała go wziąć w ręce i byłaby się może skaleczyła, ale wtem usłyszała, że coś zasyczało na ogniu.

Pobiegła więc zaraz do pieca i obaczyła, że to masło tak się smaży na patelni. Basia popatrzała przez chwilę, a potem przyszło jej do głowy zdjąć patelnię z ognia. Nie namyślając się długo, chwyciła za rączkę, podniosła patelnię, ale krzyknęła nagle, bo rączka była bardzo gorąca i upuściła patelnię.

Gdybyż była Basia po tym pierwszym przypadku powróciła do pokoju, byłoby się nic złego nie stało. Ale ona dalej gospodarowała po kuchni, przechylała garnki i rondle, zaglądając, co tam jest we środku, dotykała paluszkami masła, mięsa, wzięła mąki w garstkę i rozsypała ją po podłodze, same nierozsądne rzeczy robiła.

Nakoniec zbliżyła się znowu do pieca i zaczęła dokładać drewek do ognia. Bawiło ją to niezmiernie, włożyła jedno polanko, potem drugie, trzecie; ogień pryskał, iskry się rozsypywały,

Basia chwyciła obiema rączkami dużą kłodę, ledwie ją podniosła i wpakowała do pieca. A wtem kilka węgla żarzących wypadło z pieca na ziemię, płomień buchnął i zapalił sukienkę Basi.

Przelekła się dziewczynka, zaczęła dmuchać na ten ogień, ale to nic a nie nie pomagało, krzyczała, biegała po kuchni, a płomień od wiatru rozdmuchiwał się tylko coraz gorzej.

Nieroztropna Basia byłaby może życiem przypłaciła swoje nieposłuszeństwo, bo pokój, gdzie leżała chora bona, był daleko od kuchni, nie słyhać więc tam było jej krzyków, kucharka i Julisia nie wracały, a tu w całym domu nikogo więcej nie było.

Na szczęście jednak ciocia przyszła w odwiedziny do mamy i z sieni jeszcze posłyszała, że w kuchni ktoś krzyczy przeraźliwie. Wbiegła tam natychmiast i obaczyła dziewczynkę całą w płomieniach. Ciocia krzyknęła także z wielkiego przestachu, ale nie straciła głowy, chwyciła szybko ciepłą, grubą chustkę, którą miała na sobie i owinęła nią Basię, ażeby ogień przy-

dusić, bo to jest najlepszy ratunek w takim razie.

Gdy już płomień zgasł zupełnie, ciocia wzięła na ręce biedną dziewczynkę prawie nieprzytomną ze strachu i bólu, zaniosiła ją na łóżko, rozebrała ze strzępków spalonych sukienek i obejmowała poparzone jej ciało.

Nadbiegła tymczasem i Julisia, rozpłakała się, obaczywszy, co się stało, gorzko żałowała swej lekkomyślności. Ciocia posłała ją jaknajśpieszniej po doktora, a sama tymczasem przykładała do miejsc oparzonych płatki maczane w gulardowej wodzie, która na szczęście znalazła się w domu.

Przyszła mama z miasta; możecie sobie wyobrazić jej przestrasz, gdy obaczyła córeczkę w takim stanie. Już jej nie łąjała, bo widziała, że ciężko jest ukarana i szczerze swej winy żałuje.

Basia chorowała długo po tym okropnym wypadku, cierpiała ból dotkliwy, a gdy nakoniec przyszła do zdrowia, zostały jej na prawej ręczce i na skroni znaki od oparzenia, a doktor powiedział, że nie zejda nigdy. Znaki te

miały przez całe życie przypominać Basi, jak to źle być nieposłuszną.

Straszna to była nauka, ale pożyteczna. Od tej pory Basia nigdy bez pozwolenia nie wchodziła do kuchni, a w innych rzeczach zawsze mamy słuchała i nie pytała się, dla czego tego lub owego robić nie można, bo wiedziała, że musi być zawsze jakiś ważny powód po temu.

~~~~~

## NIECIERPLIWA JÓZIA.

~~~~~

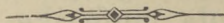
Józia. Mamuniu, kiedy już ta wiosna będzie? Tak zimno, tak brzydko na dworze! nieznośna ta zima skończyć się nie chce. Wczoraj troszeczkę było cieplej, a dziś znowu tak zmarzłam na przechadzce, chociaż rączki dobrze miałam schowane w mufeczkę. Nie, ja już tego wytrzymać nie mogę, to okropne.

Mama. To bardzo nieładnie być taką niecierpliwą. Ty wytrzymać nie możesz zimna i niepogody, mając ciepłe okrycie i ciepłą mufeczkę, a w domu kominek i wszelkie wygody. Czy też

pomyślałaś kiedy, że są na świecie biedne dzieci, co nie mają się czem okryć od zimna, a w domu nie mają czem zapalić w piecu. Gdyby one mogły rączki włożyć w ciepłą mufkę, gdyby wróciwszy z przechadzki zastały zawsze wesóły ogień na kominku, pewnieby nie narzekały.

Józia. Mamuniu, trzeba tym dzieciom dać ciepłe ubranie i drzewa im posłać do zapalenia w piecu.

Mama. Takich biednych dzieci jest bardzo dużo na świecie, nie moglibyśmy wszystkich odziać i ogrzać bo o wielu nawet nie wiemy. Gdybyśmy nawet rozdali wszystko, co mamy, toby zaspokoilo potrzeby malej tylko cząstki ubogich i zawszeby ich dużo pozostalo. Pamiętaj, moje dziecko, ile razy ci dokuczy drobna jaka przeciwność, nigdy nie bądź taka niecierpliwa, nie mów: ja nie wytrzymam tego! tylko pomyśl sobie, ilu to ludzi musi wytrzymać daleko większe przykrości.





OWADY.

— Poczekajno, poczekaj, nie śpiesz się tak, mój jelonku, muszę ci się lepiej przypatrzeć. Ja ci nic złego nie zrobię, bądź spokojny, bo ja nigdy nie męczę, ani owadków, ani ptaszeczków, zaraz cię wypuszczę, tylko cię

obejrzę zblizka, bo taki jesteś ładny, a takie masz pyszne rogi.

Tak mówił Ignas, chwytając w trawce ogromnego jelonka.

— O, jaki olbrzym!—zawołała, patrząc na to, mała siostrzyczka Ignasia, Celinka — to musi być ojciec tych wszystkich mniejszych żuków, co po ogrodzie łążą.

Ignas. Co też ty pleciesz, jelonek nie może mieć innych dzieci, tylko także same jelonki, jak i on.

Celinka. Ale zawsze muszą być przecież mniejsze, póki nie dorosną, tak jak kocięta mniejsze są od kotki, a cielęta od krówki.

Ignas. Otóż właśnie, że nie, bo wszystkie owady, póki nie dorosną, są zupełnie do swoich rodziców niepodobne i wyglądają, jakby inne jakie zwierzątka.

Celinka. A do czegoż one podobne, mój Ignasiu?

Ignas. Czy widziałaś liszki te długie robaki, co mają takie mnóstwo łapek i zwykle objadają liście na drzewach i ziołach?

Celinka. Już mi to mama kiedyś mówiła, że z tych liszek prześliczne motylki się robią; ale nie wiedziałam, że i żuki także.

Ignas. I motylki, i żuki, i muchy, i wszystkie owady najpierw są liszkami, a potem usypiają i wyglądają bardzo dziwnie. Patrz, czy widzisz tu na tym krzaku tę małą bryłkę, przyklejoną do gałązki? To jest poczwarka, z niej pewnie jakiś ładny motylek wyjdzie niezadługo.

Celinka. Alboż to żywa, taka poczwarka?

Ignas. To jest właśnie śpiący owadek. Motylki, żuki, muchy, składają najpierw jajka w różnych kryjóweczkach. Z tych jajek wychodzą liszki, duże, mniejsze, lub maluteczkie; duży owad i liszkę ma dużą, a mały maleńką. Liszki są bardzo żarłoczne, zjadają liście i różne inne rzeczy, potem, jak urosną, urządzają sobie wygodną kolebeczkę i usypiają tak mocno, jakby nieżywe.

Celinka. Jakąż one mają kolebeczkę, mój Ignasiu, te śmieszne liszki? czy

plecioną, jak koszyczek, czy drewnianą, jak moje łóżeczko? ✓

Ignas. Czyż nie widzisz, siostrzyczko, jak ta poczwarka tu śpi w swojej malutkiej kolebeczce? Niepodobne to wcale do twojego łóżeczka, bo ona cała, z nóżkami i z noskiem, owija się do spania, jakby w skorupkę.

Celinka. Ale w cóż ona się owija?

Ignas. W różne rzeczy. Ten jelenek naprzykład żyje na dębach, więc jego liszki siedzą w szczelinach pni dębowych i otulają się do snu w skorupki, ulepione z drobniuteńkich okruszyn drzewa. Liszki niektórych motyli przędą cieniutkie niteczki, owijają je naokoło swojego ciała i w tym kłębuszczku usypiają.

Celinka. Jakież to zabawne, żeby taka liszka umiała prząść!

Ignas. A pająki? czy nigdy nie widziałś pajęczyny? Ale liszki motylków daleko ładniej umieją prząść od pajaków. Ty może sama o tem nie wiesz, że masz na sobie robotę tych liszek.

Celinka. Robotę liszek? Co też ty

mówisz, Ignasiu: To mama sama uszyła mi sukienkę i fartuszek, a nie żadna jakaś liszka. Czy jabym się ubierała w taką robotę brzydkiej jakiejś liszki, co tak pełza, tak ciągnie się, brr!

Ignas. A któż to zrobił tę błękitną wstążeczkę, którą masz związany war-koczyk?

Celinka. Mama kupiła w sklepie i związała taką ładną kokardkę.

Ignas. A zkądże się ta wstążeczka dostała do sklepu?

Celinka. Albo ja wiem? Któż to może wiedzieć?

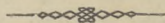
Ignas. A widzisz, a ja wiem dobrze i zaraz ci powiem. Jest taka liszka, co przedzie śliczny, cieniuteńki jedwab na kolebeczkę dla siebie, a ludzie sobie tę jej robotę zabierają, zwijają ten jedwab, farbują, i robią z niego takie śliczne materye, wstążeczki, chusteczki i różne inne rzeczy.

Celinka. Ach, mój Ignasiu, czyż jakieś małe liszki mogą takie mnóstwo jedwabiu uprząść? Ty chyba nie widziałeś, ile to tych wstążek, i chuste-

czek, i materyi, jest we wszystkich sklepach.

Ignas. Bądź pewna, siostrzyczko, że nikt na świecie nie umie robić jedwabiu, tylko liszki motyli, zwanych jedwabnikami, tak samo, jak nikt nie umie robić miodu, tylko pszczołki. W cieplejszych krajach, gdzie rosną drzewamorwowe, hodują wielkiemnośćwo takich dowcipnych liszek; one nie jedzą, oprócz liści drzew morwowych. Są tam dla nich osobne pokoje, ogromne, karmią je, pielęgnują, a one, jak się zabiorą do roboty, tyle uprzedzą kłębuszeczków, że potem po całym świecie ten jedwab rozwożą i wszędzie go mają dosyć.

Celinka. Jakież to zabawne, mój Ignasiu, żebym ja nosiła robotę jakiejś liszki. Nigdy mi to do głowy nie przyszło.





MAŁA GOSPOSIA.

~~~~~

Mała Kasia niezmiernie lubiła gospodarować. Nic jej tak nie bawiło, jak przyrzadzanie podwieczorku w ma-

łych naczyńkach, a miała śliczne porcelanowe filiżanki, talerzyki, salateczki; dostała je na wiązanie od mamy w dzień imienin i wszystko to w wielkim porządku utrzymywała, sama myła i układała w pudełku.

Ile razy Kasia zasłużyła na nagrodę, mama dawała jej różnych przysmaczków, rodzynek, migdałów, owoców smażonych w cukrze, a wiedziała mama, że Kasia nie jest taka łakoma, ażeby sama wszystko zjadła, jak to często dzieci robią. O nie; nasza mała gosposia zaraz rozkładała swoje gospodarstwo, urządzała podwieczorek i zapraszała młodszą siostrzyczkę Andzię i inne dzieci znajome. Największą jej to robiło przyjemność, gdy mogła kogoś uczęstować.

Lubiła także karmić zwierzątka; miała kanarka w klatce i sama mu codziennie dawała ziarenek i świeżej wody, zbierała wszystkie resztki od obiadu i zanosila pieskowi na podwórze; prosiła mamy, aby jej pozwalała dawać jeść kurkom, a łabędziom, pływającym po sadzawce w ogrodzie, co-

dziennie zanosila buleczkę. Roztropne te ptaki znały ją tak dobrze, że jak tylko ją zdaleka zobaczyły, zaraz podpływały do brzegu i wyciągały do niej szyję. Bawiło to bardzo malutką Andzię, bo i ona chodziła zwykle z siostrzyczką karmić łabędzie, a mama nieraz mówiła:

— Uczcie się, moje dzieci, pamiętać o każdym stworzeniu. Dziewczątka od dzieciństwa powinny się do tego przyzwyczajać, bo one będą gospodyniami; jak urosną, do nich będzie należało myśleć o potrzebach i wygodach całej rodziny.

~~~~~

MARYNIA I CIOCIA.

~~~~~

Marynia mieszkała w mieście, latem tylko wyjeżdżała zwykle z matką na wieś na kilka tygodni. Raz zaprosiła je do siebie daleka krewna, którą Marynia cicią nazywała. Była to wdowa, nie miała dzieci, nigdy z domu nie wyjeżdżała i Marynia prawie jej nie znała.

Jak wszystkie dzieci miejskie, nasza dziewczynka, przyjechawszy na wieś, z wielką przyjemnością oglądała całe gospodarstwo. Ciocia pozwalała jej chodzić z sobą wszędzie, do ogrodu warzywnego i owocowego, do spiżarni, do kuchni, do gumien i do mleczarni.

Mama chora była na nogi i nie mogła chodzić z niemi, ale Marynia wieczorem opowiadała jej wszystko, co widziała. Zaraz też na drugi dzień, kiedy już poszły obie do sypialnego pokoju, i nikt ich nie mógł słyszeć, dziewczynka przyznała się mamie, że jej się ta ciocia nie bardzo podobała.

— Taka skąpa, taka nudziarka — mówiła Marynia — wczoraj Franka, dziewczka kuchenna, wywróciła garnek z mlekiem, pewnie niechcący. Tak ją ciocia wyłajała, jak gdyby wielką szkodę wyrządziła. Później znów w spiżarni kucharka trochę za dużo masła i cukru wzięła do leguminy. Jak to obaczyła ciocia, zaraz cukier i masło odebrała, odważyła na wadze, ile było potrzeba i powiedziała do kucharki: „Janowa wie dobrze, że ja nie lubię takich zbytków.“

— A cóż w tem złego—rzekła matka—że ciocia jest oszczędna?

— Nie oszczędna, ale skąpa, mateczko—mówiła Marynia—ciocia jest taka bogata, pocóż ma żałować tej odrobiny masła, cukru, albo mleka?

— Moja Maryniu—powiedziała matka—nikt nie powinien być marnotrawny. Poczekaj, jak poznasz bliżej ciocię, to ci się może lepiej spodoba.

— Nie, nie — powtarzała Marynia, kręcąc główką, nie mogę jej kochać, bo nie jest dobra.

Minęło dni kilka i znowu raz wieczorem Marynia opowiadała matce, co jej się dnia tego przytrafiło:

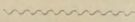
— O, mamó — mówiła — jak ja się omyliłam. Myślałam, że ciocia niedobra, że jej nigdy nie pokocham, a ona bardzo, bardzo jest dobra i kocham ją serdecznie. Dziś zobaczyłam przez okno, jak wychodziła za bramę, niosąc w ręku duży koszyk przykryty. Ja wybiegłam, dogoniłam ją i zapytałam, czy mogę z nią pójść. Zrazu mi się zdawało, że nie bardzo była temu rada, ale po chwili powiedziała: „Chodź,

moje dziecko, jeżeli chcesz.“ Poszłyśmy na wieś. Ciocia najpierw zbliżyła się do jednej chaty bardzo ubogiej i nędznej, dwie dziewczynki nadbiegły, zaczęły ją całować po rękach, a potem znów wpadły do chaty i wołały: „Pani idzie! babciu, pani nam coś przyniosła“. Z chaty wyszła zgarbiona staruszka i także z radością ciocię witała, a ciocia tak łaskawie, tak serdecznie z nią mówiła, że mi się w tej chwili wydała jakaś zupełnie inna. Zaczęła też z koszyka wydobywać różne rzeczy: cukier, herbatę, bułki, bulion; pytała się, czy Franka przynosi im codzień mleko ze dworu i czy im jeszcze czego nie potrzeba, a staruszka mówiła: „A czegoż nam więcej potrzeba? Pani taka dobra, o wszystkim pamięta.“ Poszłyśmy dalej, a ciocia wstępowała do wielu chat i wszędzie zostawiała jakiś datek, lekarstwa, cukier, nawet i pieniądze, i pytała się, czy Franka to lub owo przyniosła. O! dziś ciocia rozdała z dziesięć razy tyle cukru, ile to wtenczas odebrała kucharce, kiedym ja ją skąpą i niedobłą



nazywała za to. A jak ją wszędzie błogosławili! Jedna kobieta, wynędzniała po ciężkiej chorobie, mówiła do mnie, gdy ciocia odeszła, a ja na chwilę zostałam w tyle: „Oj, ‘panienko, takiej dobrej pani niema pewnie drugiej na całym świecie.“ A mnie, mateczko, tak się wstyd zrobiło, tak żal, że ja o cioci to wszystko mówiłam...

— Widzisz teraz sama, moje dziecko—powiedziała mama—że nigdy nie trzeba mówić o takich osobach, których dobrze nie znamy, że one są niedobre, że ich kochać nie można, bo możemy się bardzo omylić. Ciocia wydała ci się skąpa, bo nie wiedziałas o tem, że ona oszczędza w domowych wydatkach, żeby miała więcej dla ubogich. Pamiętaj to sobie na całe życie, że trzeba doskonale kogoś znać, aby o nim powiedzieć, że jest dobry, albo niedobry. Pismo Święte powiada: „Po owocach poznacie drzewo.“



## BÓL ZĘBÓW.

Biedny Józio rozchorował się na ząbek. Twarzyczka mu opuchła, jeść nie prawie nie mógł, bo jak tylko chciał coś ugryść, zaraz go ząb zaczynał boleć jeszcze gorzej. Przez całą noc nie spał, a w dzień był taki zmęczony, że nie miał ochoty się bawić i leżał w wielkim fotelu, nie ruszając się z niego.

Dobra Helenka nie odstępowała brawiszka, probowała go rozerwać i zabawić, ale Józio taki był cierpiący, że go nic nie bawiło, a gdy ból zęba ustał na chwilkę, zamykał oczy i drzemał.

Z rana posłano prosić doktora; przybył zaraz, opatrzył bolący ząb, powiedział, że jest zupełnie zepsuty i trzeba go wyjąć koniecznie.

— Ale to nie wielka szkoda—rzekł doktor—bo małym dzieciom odrastają drugie zęby, zdrowsze i silniejsze, pierwsze zawsze i tak wypadają.

Przestraszył się Józio niezmiernie, bo mu się zdawało, że wyrwanie zęba to jest coś okropnego, że on tego zad-

nym sposobem nie wytrzyma, więc zaczął płakać i schował głowę w poduszkę. Helenka także się rzewnie rozplakała, bo żałowała braciszka, a doktor wzruszył ramionami i rzekł:

— Darmo się Józio tak obawia, bo ja nikogo nie lecę gwałtem. Nie chcę ja cię oszukiwać, mój chłopcze, więc ci nie powiem, że rwanie zęba nie boli. Człowiek rozsądny woli jednak znieść ból, choćby najsilniejszy, przez jedną chwilę, aniżeli cierpieć daleko dłużej. Ale ty sobie rób, jak chcesz.

Doktor odjechał, nie zważał nawet na prośby matki Józia, bo nie miał czasu do stracenia, a na chorobę Józia nie można było innym sposobem poradzić, tylko wyrwaniem zęba. Biedny chłopczyną okropnie się męczył przez cały dzień, ząb bolał go coraz więcej, a i głowa go boleć zaczęła; z wielkiego zmęczenia, nie mógł nic jeść, więc i głód mu dokuczał.

Mama powiedziała, że już teraz sam temu winien, bo gdyby był pozwolił ząb bolący wyjąć, wszystko byłoby przeszło od dawna. Nadszedł wieczór,

Józiowi strasznie się spać chciało, ale jak tu usnąć z takim bólem zęba? Zaczął nasz chłopczyk się zastanawiać i pomyślał sobie, że doprawdy lepiej krótki ból wytrzymać, aniżeli tak się męczyć bez końca.

Józio był rozsądny, chociaż w pierwszej chwili ze strachu nie chciał sobie dać zęba wyrwać. Teraz więc sam prosił mamy, ażeby poprosiła doktora a on się już nie schowa w poduszkę. Mama zaraz napisała i poprosiła, żeby doktor zabrał z sobą potrzebne narzędzia, a gdy przybył, nasz Józio ani się skrzywił, tylko natychmiast usta otworzył i cierpliwie pozwolił z sobą wszystko zrobić.

Za to w parę chwil potem, po wypłókanu ust, chłopak zajadał w najlepsze i wesół był, jak rzadko, bo ból zupełnie ustał, „jak ręką odjął“ powiedziała Helenka, śmiejąc się i oglądając wyjęty ząbek, który tak biednemu braciszкови dokuczał.

— Cóż, czy nie dobrze mówiłem, że lepiej znieść krótki ból, aniżeli dłuższy? — mówił doktor.

~~~~~

KWIATECZEK I PSZCZOŁKA.

Wiosna! wiosna! wesola ta nowina rozniosła się wszędzie, usłyszały o niej i ptaszęta, i owadki, i rośliny. Więc ptaszki z dalekich zamorskich krajów zaczęły śpiesznie powracać do ojczyzny, owadki powysuwały się z różnych kryjówek, z norek podziemnych, ze szczelin w murach i pniach drzewnych, gdzie sobie przespały długą zimę. Przeróżne młode muszki powyklowały się z jajek, młode roślinki znów z ziemi popodnosiły łebki i zrobiło się na świecie zielono i wesoło.

Na jednej ładnej łączce wyrósł mały krzaczek; miał zrazu dwa tylko listeczki zielone, potem mu przybywało coraz więcej, aż nakoniec na gałązce najwyższej ukazał się okrągły, pękaty pączek. Słoneczko przygrzewało coraz silniej i pączek rósł coraz większy, nakoniec zaczął rozchyłać zielone osłonki i ze środka wydobył się śliczny, złocisty kwiateczek.

Pracowita pszczołka przedrzemala także całą zimę w ciemnym, ciepłym schronieniu, bo niema dla niej żadnej roboty, gdy zimno na dworze. Ale jak tylko się cieplej zrobiło, zaraz wyleciała na świat Boży, bo ona próżnować nie lubi i tylko z konieczności zimą odpoczywa. Pofrunęła więc pszczołka na ładną, zieloną łączkę, szukać słodziutkiego miodu i zdaleka zobaczyła złocisty kwiateczek.

— Oho! — zabrzęczała wesoło — zaraz będę miała miodek. Bogu dzięki kwiateczki zawsze w porę zakwitają, jak tylko ja się przebudzę i potrzebuję pokarmu. Ale nic dziwnego, toż one naumyślnie dla mnie są stworzone i po to tylko kwitną, żebym ja miodek miała.

I mówiąc to, usiadła na złocistym kwiateczku, zapuściła w głąb jego długą swoją trąbkę i zaczęła wysysać słodziutki syropek. A kwiateczek rozśmiał się, aż zatrzepotał skrzydełkami i rzekł:

— Zabawna ty sobie jesteś, moja

pszczołko; myślisz, że ja po to tylko roztwieram taką śliczną złocistą koronę, żebyś ty smaczne miała jedzenie. Mam ja co innego na głowie i dziwię się, że taka roztropna osóbką, jak ty jesteś, niedopatrzyła tego sama. Oczki masz bystre i nieraz zaglądasz aż do dna mojego kielicha, czyż nie widziałś, co tam jest?

— O, widzę ja to wszystko doskonale — odpowie pszczołka — masz tam po samym środku malutki słupek, a w nim ukryty jest zawiązek, z niego się robi nasionko. Dokoła słupka masz spory pęczek cieniuteńkich pręcików, każdy zakończony woreczkiem pełnym drobnuteńkiego pyłku. Mam ja dobre oczki i dostrzegam najdrobniejsze rzeczy; i wiem, że nasionko nie zawiąże się w słupku, póki pyłek z pręcików się nie rozsypie, to też przez grzeczność dopomagam ci do tego, jak mogę. Wysysam miodek, a łapkami na wszystkie strony wywijam, przydeptuję woreczki z pyłkiem, żeby się prędzej powysypywały. Są także kwiateczki, co nie mają wcale pręcików,

tylko same słupki, a w takich nigdyby się nasionka nie zawiązały, gdyby wietrzyk, lub usłużny owadek, nie przyniósł pyłku z innych kwiateczków, co znów nie mają słupków, ani zawiązków. Oj, nieraz ja przenosiłam pyłek na łapkach, a kwiateczki ślicznie mi za to dziękowały i częstowały wybornym miodkiem.

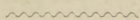
— Ależ, moja pszczołko — rzekł kwiateczek — ja o tem wszystkim wiem dobrze i bardzo ci jestem wdzięczny za twoją grzeczność dla mnie, chociaż co prawda, zawsze sobie dobrym miodem za to każesz płacić. Sama jednak powiedziałaś, że moje ładne, złociste płateczki, otulają słupek i pręciki, więc nie tylko poto są na świecie, ażebyś ty miała smaczne jedzenie. Ja ci nawet powiem, że te płateczki to jest tylko sukienka moja, a prawdziwym kwiateczkiem we mnie są te pręciki i ten słupek, bo to z tego wyrasta nasionko. Widzisz, widzisz, pszczołeczko, ja po to żyję na świecie, ażeby nasionka wydać, a te nasionka to są moje dzieci, one potem wyrosną na ta-

kież same roślinki, jak ten oto krzaczek, na którym ja kwitnę. Jak tylko te nasionka dojrzeją, śliczna moja sukienka kolorowa opada, bo już na nie nie jest potrzebna.

— Już mów ty sobie co chcesz, mój kwiateczku — rzekła pszczołka — musisz jednak przyznać, że ja nie jem darmo twego miodu. Przeszłego roku u naszego pana ślicznie owoce obrodziły, daleko lepiej niż dawniej bywało, a to dlatego, że nasze ule ustawili w sadzie. Sama słyszałam, jak ogrodnik mówił, że tak zwykle bywa; gdzie tylko obok drzew owocowych ustawią pasiekę, zaraz i owoców jest więcej, bo my gospodarujemy porządnie w kwiateczkach i rozsypujemy pyłek, a zaraz owoc łatwiej się zawiązuje.

— Bo to widać, moja pszczołko — powiedział kwiateczek — tak już Pan Bóg rozporządził na tym świecie, żeby jedni drugim pomagali. Ja tobie miodek daję, ty mnie rozsypujesz pyłek, przenosisz go z jednego kwiateczka na drugi i dobrze nam z tem. Ale nie trzeba sobie znowu wyobrażać, że

wszystko jest dla nas stworzone i służy jedynie dla naszej wygody i przyjemności. Każda istota żyjąca ma swoje przeznaczenie. Ty zbierasz miodek, karmisz nim swoją dziatwę, a ja znów rozwijam się, kwitnę, aby wyhodować nasionka, moje dzieci. Zawsze jednak jedni drugim dopomagajmy, a będzie nam dobrze na świecie.



LUTEK.



Lutek był dobry, posłuszny chłopczyk, póki mu mucha nie usiadła na nosku, a na nieszczęście te muchy pojawiały się bardzo często, i latem, i zimą, nawet gdy żadnych much nigdzie na świecie niema. Wtenczas z grzecznego Lutka robił się jakby inny jaki chłopczyk, grymaśny, nieznośny, i twarzyczka mu się także zmieniała i wykrzywiała tak brzydko, że niemiło było patrzeć na niego.

Dnia pewnego, gdy Lutek był zupełnie grzeczny, oczki miał pogodne,

wesołe, mama wzięła go na kolana i mówiła:

— Powiedz mi, moje dziecko, czy nie lepiej ci teraz, czy nie czujesz się daleko szczęśliwszym, aniżeli wczoraj wieczorem, podczas tych brzydkich grymasów, o których wolałabym już nawet nie wspominać, gdyby nie to, że chcę koniecznie mojego synka uleczyć z tak brzydkiego nałogu. Nie musi to być przyjemna rzecz płakać, mazać się, chrypnąć z krzyku. Doprawdy, radabym wiedzieć, dla czego to dzieci bywają niegrzeczne, skoro im z tem wcale nie jest dobrze? Bo może ja się mylę, może to rzecz bardzo przyjemna tak grymasić? Odpowiedzże mi, mój Lutku.

Ale Lutek nie odpowiadał, tylko oczki schował na ramieniu mamy, bo mu się strasznie wstyd zrobiło. Zaczął myśleć o tem, co mama powiedziała i przekonał się, że ona dobrze mówiła. Te grymasy, płacze, krzyki, to nie była wcale rzecz przyjemna. Zawsze, ile razy ta brzydka mucha

usiadła na nosku Lutkowi, zmęczyła go tylko i nie więcej.

Więc pocóż się mazał i grymasił? Ha, żeby to dzieci zastanawiały się nad tem, co robią, poznałyby może swój nierozsądek i słuchałyby ódrazu dobrych rad rodziców i starszych.

Jeszcze tego samego dnia mucha zjawiała się znowu. Bona Lutka nie pozwalała mu siadać na oknie, bo zimno było i wiało trochę z lufcika. Chłopczyk upierał się koniecznie, że chce patrzeć przez okno i zaczynał już swoim zwyczajem krzyczeć, wyrywać się, chociaż wiedział dobrze, że wszystko to na nic się nie przyda, bo bona miała polecenie od mamy, ażeby do niej, przyszła, gdyby sobie sama z Lutkiem rady dać nie mogła. A z mamą to już nie było sposobu, skoro na coś pozwolić nie chciała, żadne muchy na nic się nie zdały.

Wtem nagle wśród krzyku przypomniał sobie Lutek rozmowę z mamą i pomyślał:

— Będę płakał, wyrywał się, zachrypnię i zmęczone się, a w końcu trze-

ba będzie usłuchać. Cóż mi z tego przyjdzie? Lepiej odrazu usłucham. Nic tam zresztą nie widać osobliwego przez okno i naprawdę nie bardzo jestem ciekawy, chciałem tylko na swoim postawić.

I odszedł Lutek grzecznie, przestał grymasić, aż się bona zdziwiła, że tak prędko dał sobie wyperswadować. A chłopczyna przekonał się, że dobrze na tem wyszedł. Zamiast płakać, mazać się, zabawiał się ładnie przy stoliku blaszanymi żołnierzami i zapomniał prędko o oknie.

Odtąd Lutek, ile razy mu się zachciało grymasić, przypominał sobie, że to mu żadnej przyjemności zrobić nie może, tylko przykrość, i zupełnie się od tego odzwyczaił. Już potem muchy nigdy go nie nachodziły, bo się ich pozbył.

PRZEMYSŁ.

Antoś. Mamusiu, co to znaczy przemysł?

Mama. Zkądże ci to przyszło do głowy?

Antoś. Bo wczoraj, mamuniu, bawiliśmy się z Ludką i zrobiliśmy sobie most. Ustawiliśmy dwa krzesła, położyliśmy na nich długą deseczkę tak, że jeden koniec opierał się na jednym krześle, drugi na drugim, potem Ludka wozila po tym moście swoją lalkę w wózek. Wujaszek przyszedł i powiedział: „Patrzcież państwo, co to za przemysł!“ Więc ja myślałem, że przemysł to jest budowanie mostów; ale dziś znowu Ludka urządziła podwieczorek dla lalek, zabrakło jej gospodarstwa, a ja porobiłem talerzyki z papieru. Mamunia wie, jak to się robi: bierze się okrągłe pudełeczko od pieczętów, zdejmuje się nakrywka, kładzie się kawałek papieru na odkrytem pudełku i wkłada się nakrywkę ostrożnie na ten papier. I znowu potem zdej-

muje się nakryweczkę, a z papieru zrobił się tymczasem talerzyk, tylko go już obciąć trzeba równiutko nożyczkami w około. Wujaszek zobaczył tę moją robotę i powiada tak samo, jak wczoraj: „To dopiero przemysł!“ A ja teraz już sam nie wiem, co to znaczy przemysł: czy most budować, czy talerze robić?

Mama. Jedno i drugie, moje dziecko, a oprócz tego i mnóstwo innych rzeczy nazywa się przemysłem. Wszystko co Pan Bóg stworzył na ziemi, nazywa się przyrodą. To zaś, co człowiek z tych darów Bożych przerabia dla swojej wygody i przyjemności, nazywamy przemysłem ludzkim. Oto na przykład drzewo, co rośnie w lesie, jest częścią przyrody, ale ławka, stół, krzesło, sprzęty z tego drzewa przyrządzone, to są wyroby przemysłu.

Antoś. Ach, już wiem! Toż wszystko, co tylko jest u nas w całym domu, to przemysł. Nawet i dom, nieprawdaż mamo?

Mama. Niezawodnie, gdzie tylko ludzie mieszkają, tam wszędzie muszą

być i wyroby ich przemysłu. Mieszkania nasze, odzież, jedzenie, wszystko to pochodzi z darów Bożych, z przyrody. Ale człowiek przemysłem swoim przerabia każdą rzecz, aby z niej większy miał pożytek. Na to mu Pan Bóg dał rozum. Nawet dzicy ludzie mają swój przemysł. Nie umieją wyrabiać pięknych tkanin na ubranie, więc odzieżają się w skóry zwierząt. Najdziksi nawet przyrządzają sobie jedzenie przy ogniu, pieką mięso zabitej zwierzyny, gotują różne kórzonki i inne roślinne pokarmy.

Antoś. A chleba i bułeczek nie jedzą pewnie ci biedni dzicy ludzie. Już ja teraz wiem, że pieczenie chleba jest przemysłem.

Mama. Nietylko pieczenie chleba, ale zasiewanie zboża, zbieranie, oczyszczanie ziarna i przerabianie go na mąkę. Takie ludy, które się trudnią rolnictwem, to jest uprawiają ziemię i hodują zboże, zawsze są mniej dzikie od tych, co żyją tylko z polowania i karmią się mięsem zabitej zwierzyny.

ny. Ten sam przemysł może być jednak bardzo nędzny, lub bardzo umiejętny. Oto na przykład murzyni w Afryce zasiewają zboże, najczęściej pewien gatunek zboża, które nazywają prosem murzyńskim. Gdy je zbiorą, wymłóca, muszą zemleć ziarno na mąkę. Biorą do tego dwa duże kamienie i rękami rozgniatają ziarno. Wydmuchują potem plewę z mąki, ale musi to być bardzo gruba i brzydka mąka, a chleb z niej wypieczony nie może być dobry.

Antoś. A ciastek, leguminek, pewnie niema sposobu upiec z takiej mąki. Biedne dzieci murzyńskie, nigdy tych dobrych rzeczy nie jedzą.

Mama. Biedne matki tych dzieci bardzo się muszą ciężko napracować, zanim wymiela tę grubą mąkę ciężkimi kamieniami. U nas przemysł jest doskonalszy daleko i wszystko to ułatwia. Młynarz nie potrzebuje nawet się zmęczyć, bo nasze młyny tak są urządzone, że w nich pracują siły przyrody.

Antoś. Siły przyrody? A cóż to znów takiego, mamuniu?

Mama. Czy widziałeś kiedy wiatrak?

Antoś. Widziałem, kiedyśmy z mamą jeździli za Marymonckie rogatki. To jest taki młyn, co ma skrzydła i te skrzydła tak zabawnie się obracają.

Mama. A jakimże sposobem się one obracają?

Antoś. Jak wiatr się zerwie, to je zaraz obraca.

Mama. Widzisz, otóż to wiatr jest siłą przyrody, on porusza wszystko, co napotka na drodze swojej, a przemysłni ludzie umieją z tego skorzystać i budują wiatraki z lekkimi skrzydłami, które poruszają się bardzo łatwo, choćby wiatr nie był zbyt silny. Skrzydła te ciągną za sobą przyrząd schowany w środku młyna, a w tym przyrządzie są ciężkie kamienie, które rozgniatają zboże doskonale. W tym młynie wiatr daleko lepiej wykonywa tę samą robotę, którą z takim trudem wykonywają w Afryce murzynki.

Antoś. Ale są także inne młyny, mamuniu, na wodzie budowane; widziałem i taki, jak byłem na wsi u babci.

Mama. Jeżeli widziałeś, to musisz pamiętać, że w tym wodnym młynie są duże koła. Jakimże sposobem te koła się obracają?

Antoś. Woda je obraca, mamuniu; o! jak to ślicznie wygląda. Ogromna woda płynie tak prędko, huczy, pieni się, spada na koła i one się zaraz kręcić zaczynają. Jak niema zboża do mielenia, to młynarz umie jakoś tę wodę zatrzymać, a jak tylko chce mąkę zemleć, zaraz znów wodę wypuszcza i wszystko zaczyna huczeć, szumieć, przewracać się, a koła kręcą się jak szalone.

Mama. Bieg wody jest także siłą przyrody, a widzisz, jak to ludzie umieją dowcipnie się z nią obchodzić. Gdy będziesz starszy, zrozumiesz dokładniej, jakim to sposobem urządza się młyn wodny tak, że się w nim woda zatrzymuje lub wypuszcza, w miarę potrzeby. Para jest potężną siłą przyrody, powstaje przez ogrzanie wody. Ludzie umieją ją opanować i zaprządź do ciężkich wozów, okrętów i niezliczonych fabrycznych maszyn.

Nawet taka straszna i niszcząca siła, jak piorun i błyskawica, może być schwytaną i zużytkowaną. Ta siła nazywa się elektrycznością; ona to bieży z niesłychaną szybkością po drucikach telegraficznych i przenosi różne wiadomości, ona zapala piękny, jasny płomień w lampach elektrycznych. Cóż, czy już wiesz teraz, co to znaczy przemyśl?

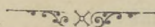
Antoś. O, wiem, mamuniu, wiem.

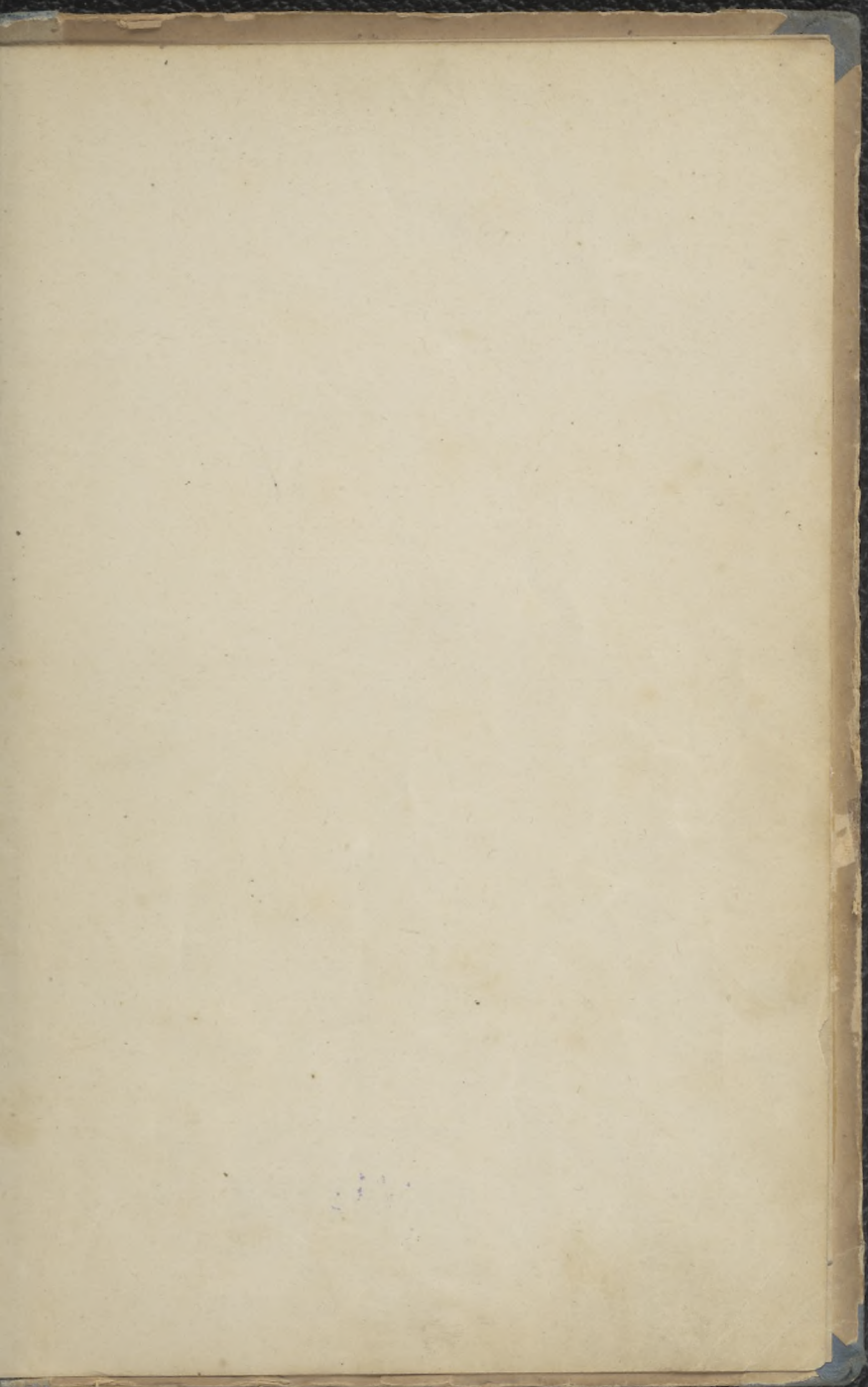
KONIEC.

Spis przedmiotów.

	<i>Str.</i>
Malutka Kazia (drzeworyt)	1
Najlepsze kochanie	4
Motylek	5
Tadzio (drzeworyt)	9
Głodne ptaszęta	11
Koziołek (drzeworyt)	16
Kamyczek i gąbka	21
Fiolki (drzeworyt)	25
Niezgoda	29
Opowiadanie wiewiórki (drzeworyt)	39
Mała siostrzyczka	48
Myszka w pułapce (drzeworyt)	51
Gniazdeczko (drzeworyt)	53
Ludka	56
Magnes (drzeworyt)	60
Janek i Zosia	63
Majówka	66
Adaś w polu (drzeworyt)	70
Wędrownka Celinki do zaczarowanych krajów	75
Mały roznosiciel (drzeworyt)	96
Ptaszek w zimie	100
W mieście i na wsi	101
Piesek Antosi (drzeworyt)	104
Dwie dobre dziewczynki	109
Janinka nad morzem (drzeworyt)	115
Sól i cukier	119
Zarozumiały Adaś (drzeworyt)	124
Urodziny Zosi	127
Ptaszek w lecie	129

	<i>Str.</i>
Karolcia (drzeworyt)	130
Adaś i Burek (drzeworyt)	134
Anusia	137
Robótka Maryni (drzeworyt)	141
Józio i Helenka	141
Dobre dzieci (drzeworyt)	141
Indyk i kwoczek	155
Dobra Terenia (drzeworyt)	160
Przechadzka	162
Podśluchana rozmowa (drzeworyt).	167
Do lalki.	171
Zgoda (drzeworyt)	173
Niezdrowe zabawki	176
Dzieci i miech (drzeworyt)	180
Lola i Neron (drzeworyt)	182
Różia i braciszek	187
Teodorek (drzeworyt)	192
Kotek Jadwini (drzeworyt)	195
Basia	199
Niecierpliwa Józia	205
Owady (drzeworyt)	207
Mała gosposia (drzeworyt)	213
Marynia i ciocia	215
Ból zębów	220
Kwiateczek i pszczółka	223
Lutek	228
Przemysł	232





115-27

10-

PHOTOGRAPHY
115-27

115-27

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020817655

Antykw. Nauk
Bydgoszcz 9.12.85.
-400 zł



1465466



SWOK